

Part Code
ST1316



Grey Scale #13

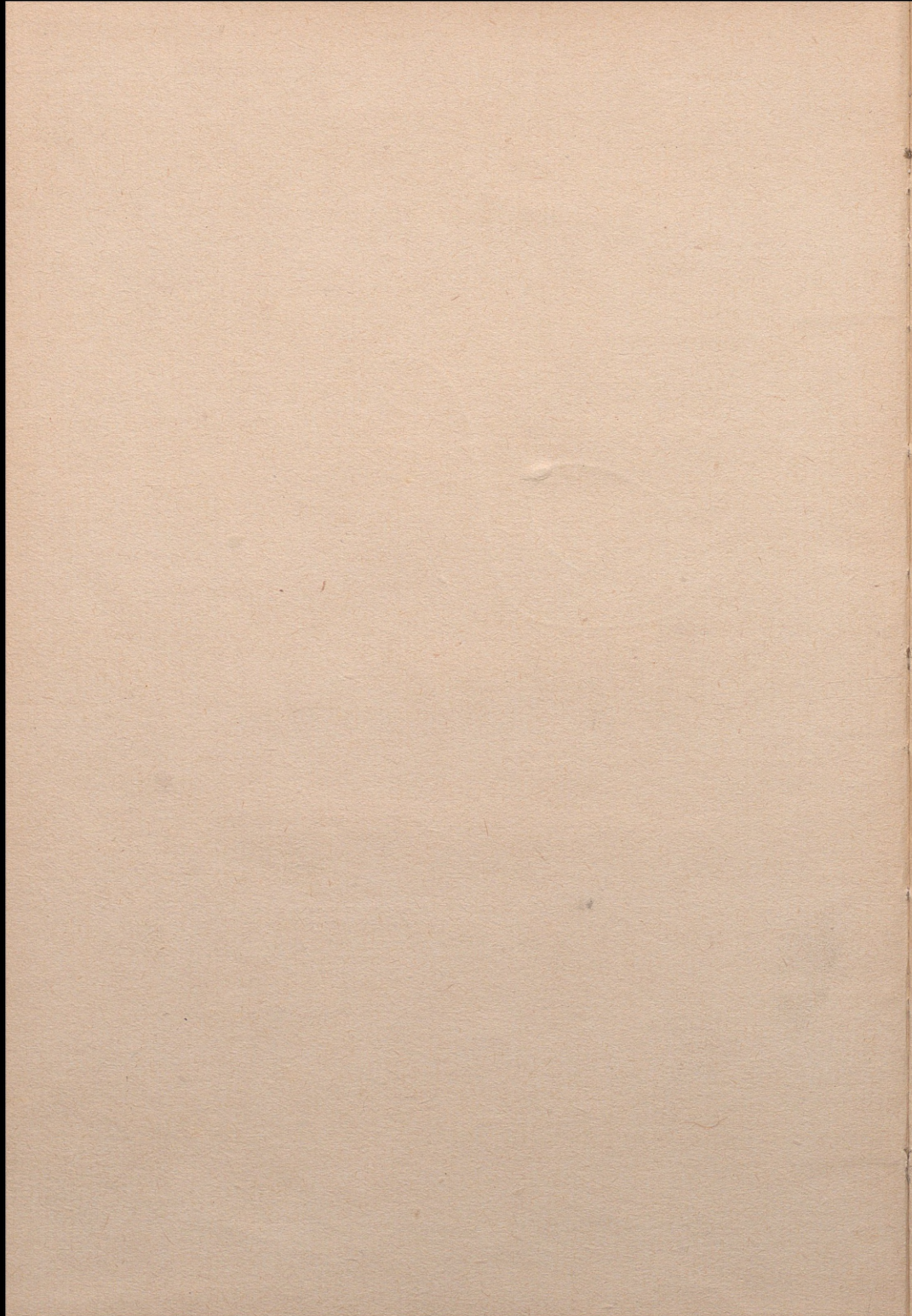
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



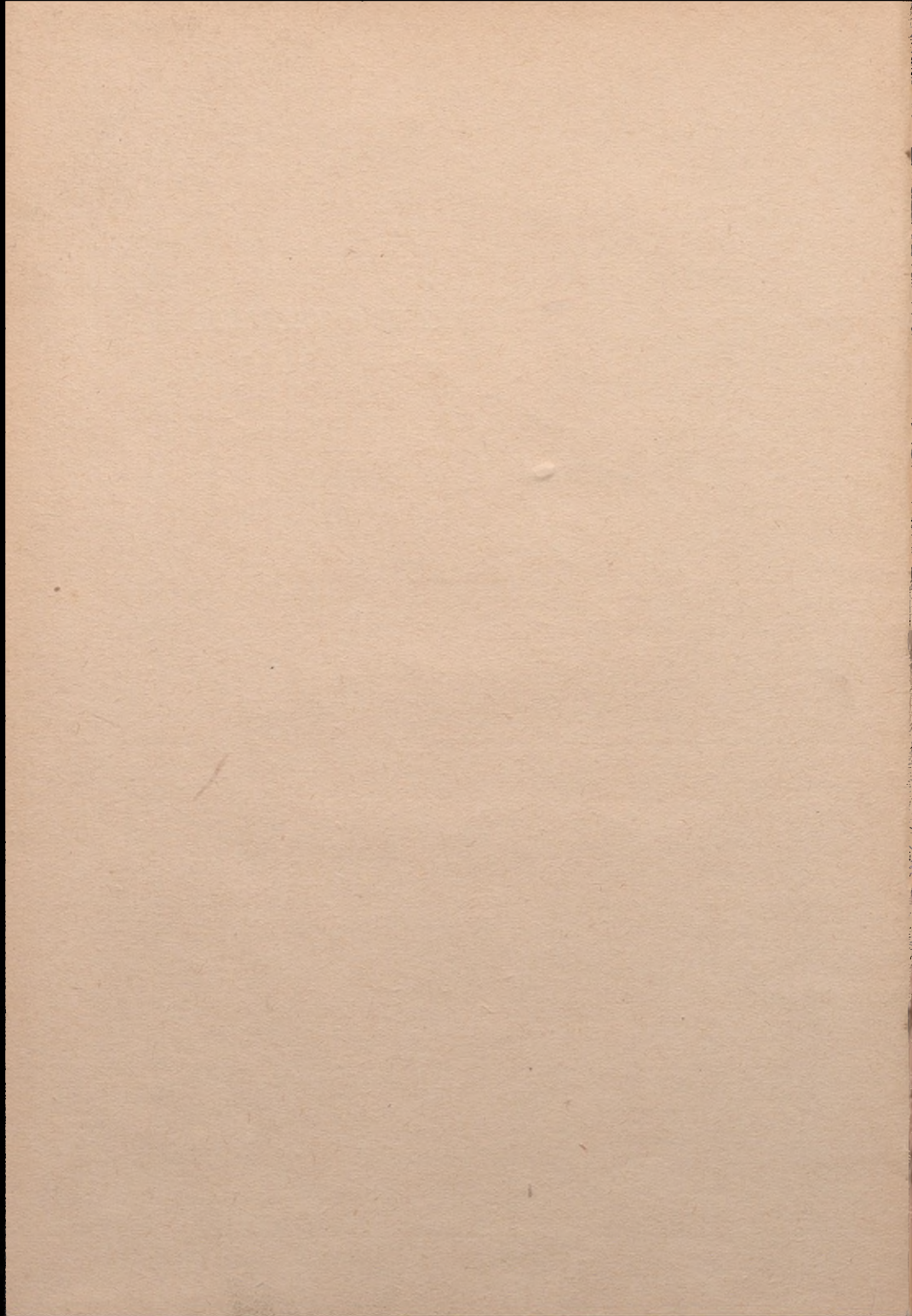


S.

POŚWIĘCA SIĘ
MŁODZIEŻY POLSKIEJ



PRZED PRZEŁOMEM



JAN JACYNA

PRZED PRZEŁOMEM

1923 — 1926

PRZEŻYCIA

W A R S Z A W A — 1 9 2 9

DRUK. MIN. SPRAW WOJSK.
WARSZAWA — PRZEJAZD 10.



PRZEDMOWA

Pytałem młodzieńca, czy wie czym jest życie?
Wiem odrzekł z zapalem, już znam należycie,
Do życia szeroko otwarte podwoje,
Gdzie muszą się ziścić uroczne sny moje.

Ta droga jest prosta, ku gwiazdom wiodąca,
Na której wyprzedza ten wśród tysiąca;
Kto wiarę ma w sobie, ręce ma zdrowe,
A w sercu odwagę — i głowę.

Grudziński.

W końcu mojej książki czytelnik znajdzie szkicowy życiorys jednego z tych młodzieńców, o których mówi poeta.

Krótkotrwałe Jego życie było ciekawe nie tylko z powodu swych przeżyć, ale i również obfite w szlachetne czyny.

Rzucając na świeżą mogiłę garstkę wspomnień, pragnę żeby zaznajomienie się z tym materiałem, nie tylko znalazło szlachetny oddźwięk, w gronie naszej

młodzieży, ale i posłużyło jako bodziec do rzeczowych i godnych czynów.

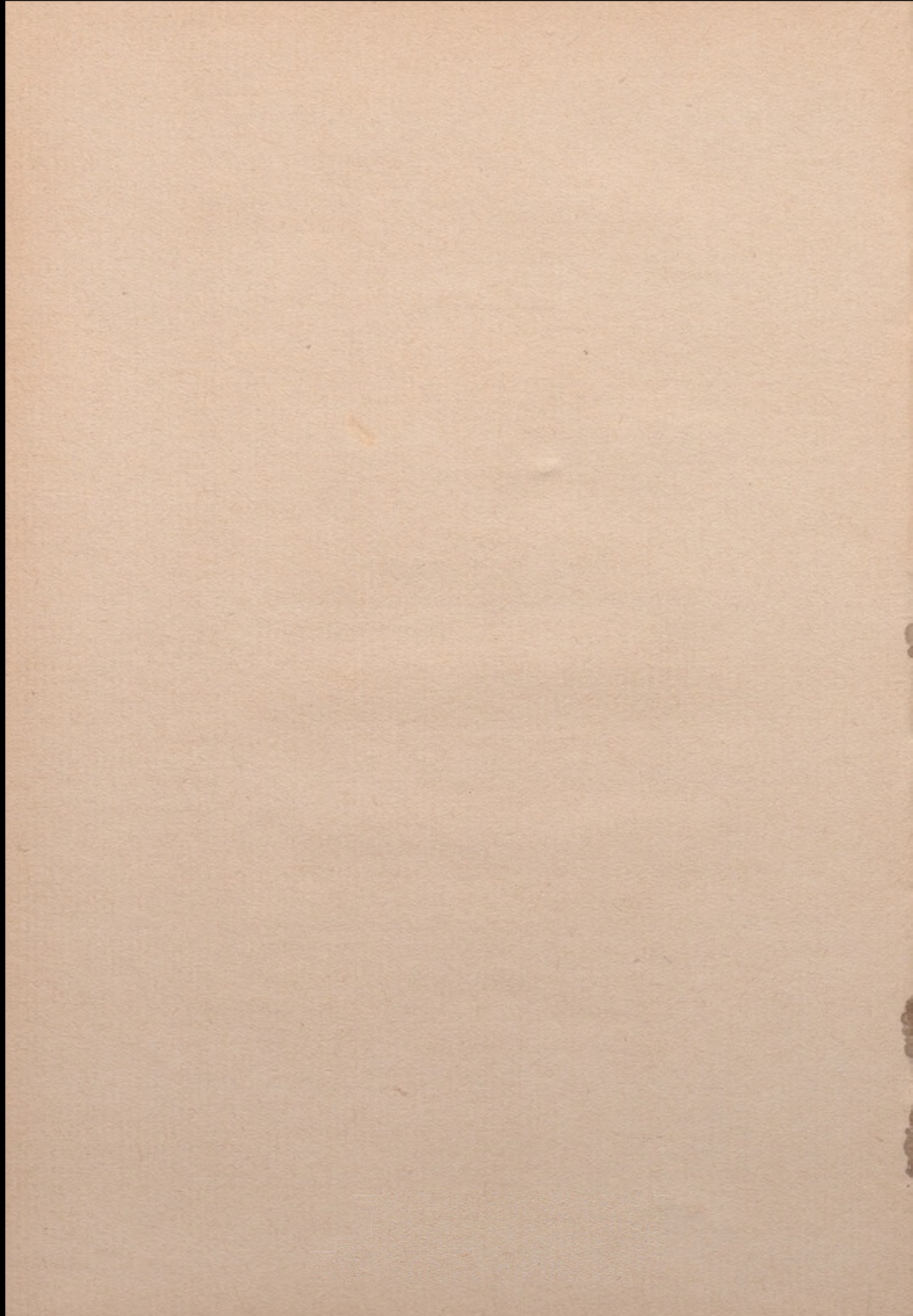
I o ile się to sprawdzi, to życie Twoje, — nasz kochany jedynaku, — nie poszło na marne i Twoja praca zostanie sownie wynagrodzona...

„Przed Przełomem” jest ciągiem dalszym moich poprzednich dwóch prac: „30 lat w stolicy Rosji”, ogłoszonej w 1926 r. i „W Wolnej Polsce”, ogłoszonej w 1927 r., ale zawiera w sobie okres tylko do wypadków „Majowych” w 1926 r.

Uważam, że dla kroniki dalszych wypadków, jeszcze czas nie nadszedł.

Brakowałoby bowiem, z mojego punktu widzenia, najniezbędniejszego czynnika — „perspektywy czasu”.

ROK 1923



I.

PIERWSZY OKRES RZĄDÓW NOWEGO PREZYDENTA, PRZYJAZD MARSZAŁKA FOCHA I KRÓLEWSKIEJ PARY RUMUŃSKIEJ DO WARSZAWY.

21 grudnia 1922 r. nowy Prezydent obejmuje władzę i tegoż dnia Szef Kancelarii cywilnej i ja zgłosiliśmy nasze dymisje, ale Prezydent prosił nas, by z tą sprawą poczekać do zakończenia feryj świątecznych.

Noworoczne urzędowe uroczystości rozpoczęły się w Belwederze, gdzie kardynał, marszałkowie Sejmu i Senatu, ministrowie i najbliższe otoczenie składali Prezydentowi powinszowania.

W południe na salach zamkowych odbyło się przyjęcie korpusu dyplomatycznego, delegacji różnych instytucji rządowych, magistratu i przedstawicieli sfer stołecznych. Okolicznościowe przemówienia ograniczyły się do mowy nuncjusza, jako „doajena” korpusu dyplomatycznego. Prezydent odczytał po polsku swoją odpowiedź korpusowi dyplomatycznemu.

Na tej uroczystości występował On w surducie, a nie we fraku, jak to jest powszechnie przyjęte.

Z zamku wszyscy zebrani z Prezydentem na czele poszli pieszo pod pomnik Mickiewicza, gdzie Prezydent złożył wieniec, a następnie, tuż pod pomnikiem przyjął defiladę wojsk.

Wieczorem był galowy spektakl w Operze; w czasie antraktów, dla członków korpusu dyplomatycznego podano herbatę w saloniku przy łożu Prezydenta.

Marszałek Piłsudski, który już objął stanowisko Szefa Sztabu Generalnego, z powodu choroby nie brał żadnego udziału w noworocznych uroczystościach.

Wkrótce po Nowym Roku Prezydent ogłasza orędzie: „Do Narodu Polskiego“, nawołując go do zgody i spokojnej pracy.

Po ukończeniu feryj świątecznych rozpoczyna się szereg konferencji Prezydenta z przewodniczącymi różnych ugrupowań sejmowych, ale z tem poszło widocznie niezbyt pomyślnie, bo gabinet generała Sikorskiego, przy przedstawieniu w Sejmie kwestji o votum zaufania otrzymuje nikłą większość: 42 głosy i to tylko dzięki poparciu gabinetu przez najskrajniejsze partje lewicowe i inne, składające się z elementów faktycznie wrogich ustrojowi Państwowemu.

Mimo to gabinet pozostaje!

W połowie stycznia odbywa się w Belwederze przyjęcie pierwszego ministra pełnomocnego republiki So-

wietów. Asystuje mu pierwszy raz Szef Protokołu Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Dotychczas wszystkim ministrom pełnomocnym, którzy od 1919 r. składali swoje listy uwierzytelniające (w liczbie 22) asystowałem ja.

Nowy Prezydent kasuje eskortę wojskową, w czasie przyjazdu nowoakredytowanych ministrów do Belwederu.

Jeden z mianowanych wkrótce do Polski, którego znałem osobiście, w czasie jego bytności przed wojną na tymże stanowisku w Rosji, opowiadał mi, jak go przykro ten fakt zaskoczył. Wiedząc bowiem o ustalonym w Polsce uroczystym ceremoniale, z góry zawiadomił prasę ilustrowaną swojego kraju, że nadeśle kinowe zdjęcia przejazdu przez Warszawę z eskortą i w tym celu obstał wał je naprzód...

W drugiej połowie stycznia Prezydent zwołuje konferencję przy udziale wszystkich byłych ministrów skarbu, w celu ułożenia planu sanacji finansowej. Brało w tem udział 7 byłych ministrów, którzy przed rozpoczęciem sesji zbierali się w mym służbowym gabinecie w Belwederze.

Wynikiem tych wielokrotnych posiedzeń było zaakceptowanie przez Prezydenta planu sanacji, opracowanego przez p. Władysława Grabskiego, który obejmuje tekę ministra skarbu i wkrótce dostaje od Sejmu szerokie pełnomocnictwa, narazie półroczne, które mu potem Sejm przedłuża.

Przy dalszych częstych rekonstrukcjach gabinetów, p. Wł. Grabski pozostaje w składzie rządu, do końca 1925 r., bądź jako minister skarbu, bądź też jednocześnie jako premier.

O planie jego nic powiedzieć nie mogę, bo go nie znałem. Mówiono tylko, że ma być rozłożony na 3-letni okres.

Jako kronikarz muszę stwierdzić, że już od pierwszej chwili większość społeczeństwa odnosiła się do zarządzeń dyktatora finansowego na razie nieufnie, a następnie krytycznie i z coraz większym niezadowolaniem.

Zdaniem dominującej większości naszego społeczeństwa, wyniki osiągnięte były nietylko chybione, ale nawet przyniosły krajowi wielką szkodę.

Ekonomiczny dobrobyt całego kraju był wystawiony na ciężkie próby...

Robiono mi zarzut, że w moich Wspomnieniach, jestem zbyt powściągliwy, — „zbyt skąpy” w wypowiedaniu moich osobistych poglądów.

Uwaga ta może i słuszna, ale unikam tego, wychodząc z założenia, że nie uważam się za uprawnionego w tym względzie.

Co innego gdybym był zaszczycony społecznym mandatem, powiedzmy jako poseł.

Na razie jestem tylko kronikarzem, któremu warunki życiowe i służbowe dawały możliwość widzieć i konstatować fakty, mniej znane, a czasami i nieznanym innym.

Ale czasami mimowoli wychodzę po za te ramki i właśnie w tem miejscu chcę powiedzieć o niezrozumialej dla mnie psychologii tych obywateli, którzy z lekkim sercem (czy tupetem) są gotowi objąć każdy, nawet najodpowiedzialniejszy urząd Państwowy, czy społeczny.

Z jakiego tytułu i prawa ludzie nie mający należytych, a niestety często i żadnych kwalifikacyj, sięgają po teki ministerjalne, lub inne odpowiedzialne stanowiska?

Mogą mi odpowiedzieć, że to nie tylko u nas, ale wszędzie, gdzie są parlamenty, ministrami są bardzo często ci reprezentanci partyj, którzy wcale nie są fachowcami. Zgadzam się z tem, ale trzeba wziąć pod rozwagę, że w krajach tych jest wyrobiona rutyna administracyjna, oparta na wiekowej kulturze i cały mechanizm administracyjny obsługiwany przez rutynowanych fachowców.

Tam o ministrach można powiedzieć, jak o królu angielskim: — „On króluje, ale nie rządzi”.

Ale u nas tego wyczucia kulturalno-politycznego często brakuje i „często-gęsto” objęcie władzy zaczyna się przede wszystkim od reform osobistych. Żeby uzupełnić tło muszę wskazać, że bywały u nas gabinety składu familijno-przyjacielskiego: bracia, szwagrowie, osobiści przyjaciele łączyli się razem...

Bywa to może i nie tylko u nas, ale rozumie się wszystko co swoje — więcej boli...

U nas tylko zmarły p. Biliński, był powszechnie znany, jako wybitny fachowiec w sprawach skarbowo-



ści Państwowej i obejmował urząd ministra skarbu w Austrii.

Z naszych licznych ministrów, żaden nie zajmował w byłych Państwach zaborczych, wybitniejszych urzędowych stanowisk w tej dziedzinie, a jeśli zajmował stanowisko, to podrzędne, a najczęściej nawet i żadne.

Nie znam dokładnie biografii tych wybrańców losu, ale z tego co słyszałem i widziałem, uważam, że znaczna część tego zespołu nie mając nietylko należytej wiedzy, ale i doświadczenia życiowego, wprost nie powinna była sięgać po teki, chociażby przez poczucie obywatelskie.

Zapytam na przykład, czy niedawny sportsmen, fachowiec od „steeple-chase'ów” ma kwalifikacje powiedzmy — na ministra skarbu?

Czy lekarz powiatowy, czy profesor szkoły średniej, rozpoczynający swoją karierę i wcale nieznanemu społeczeństwu przez swe prace — mogą decydować się na objęcie tek, powiedzmy ministrów bądź oświecenia, czy czego innego?

Czy z zawodu buchalter, z „domowem” wykształceniem ma kwalifikacje, powiedzmy na ministra spraw wewnętrznych? etc., etc...

Za ich eksperymenty, próby i uganianie się za efektami (to samo powtarza się i na innych stanowiskach) ciężko pokutuje kraj i kto wie jeszcze jak długo pokutować będzie...

Dlaczego najwyżsi kierownicy i organizatorzy naszej narodowej Armji, nie uważali za ubliżające dla

swojego autorytetu, na wszystkie wybitniejsze placówki organizacyjne i wyszkolenia zapraszać z Francji fachowych doradców wojskowych?

Współpraca ta trwała bez przerwy przez szeregi lat.

W tym okresie nasi kierownicy mieli stały wgląd w to, żeby były brane pod uwagę i uwzględniane nasze odrębności narodowe.

Z biegiem czasu liczne zastępy tych wojskowych doradców planowo, systematycznie malały i — stopniały wkońcu...

Wielu z obecnych, tak zbyt pewnych siebie (zarozumiałych) działaczy, można porównać z ludźmi, którzy po przeczytaniu paru podręczników lekarskich sami leczą wszystkie choroby.

Słyszałem kiedyś takie opowiadanie.

Jeden z Rotszyldów dowodził, że najbogatszym krajem na kuli ziemskiej jest Rosja. Uzasadniał to tem, że tylko tak wyjątkowo bogaty kraj może sobie pozwolić na to, żeby na odpowiedzialnych stanowiskach mieć przeważnie nieodpowiednich ludzi.

Wracam do kroniki.

W końcu stycznia zostaje rozstrzelany zabójca Prezydenta Narutowicza. Słyszałem szczegóły w klubie, od jednego z urzędników, który z urzędu był obecny przy egzekucji. Wedle jego słów skazany do ostatniej chwili zachował panowanie nad sobą...

Po opuszczeniu Belwederu zostaje mianowany Przewodniczącym Trybunału Oficerskiego, a następnie polecono mi jednocześnie objąć przewodnictwo

komisji dla opracowania Statutu i Kodeksu Honorowego.

Na tem stanowisku pozostają półtora roku.

Spraw w Trybunale Oficerskim było bardzo dużo, nietylko ilościowo, ale i same sprawy były często natury subtelnej. Wyroki bowiem tej Instytucji, w pewnych wypadkach są, w swoim rodzaju, skazaniem na śmierć moralną...

Do oficerskiego zespołu armji czynnej i do rezerwy należy kilkadziesiąt tysięcy ludzi, z grona których, siłą okoliczności, znaczna część przed wszechświatową wojną nietylko nie była zawodowymi wojskowymi, ale nie miała wogóle nic wspólnego z wojskowością, a tem samem i ze światopoglądem byłej kasty wojskowych zawodowych, mającej w każdym z Państw zaborczych swoje nieco odrębne tradycje.

Coprawda w okresie 52 miesięcy trwania tej strasznej wojny, kadry stałego zespołu oficerskiego albo zostały zniszczone, albo musiały porzucić szeregi jako niezdolne do służby wojskowej.

W jednym z pułków gwardji w Rosji, komplet oficerów, w okresie wojny, zmienił się 17 razy — tylu było zabitych, czy ciężko rannych...

Przy końcu wojny, w szeregach wielomilionowych armij, zespół oficerski składa się w ogromnej większości już z ludzi przedtem mających bardzo mało wspólnego z ideologją byłego stałego korpusu oficerskiego.

U nas w Polsce wobec wyjątkowych warunków historycznych, szeregi oficerskie pod względem ideologii, w pierwszych okresach, były niejednolite.

W zakres działalności Trybunału podczas mego przewodnictwa wchodziły sprawy wyjątkowo tylko oficerów rezerwy.

Niektórym z kandydatów stawiano zarzuty na tle ukrywania swojej narodowości w czasach ich służby, bądź w armji, bądź w administracji Państw zaborczych.

Uwzględnić trzeba, że ilościowo bardzo liczny zespół oficerów rezerwy składa się z obywateli stale mieszkających na naszych rozległych kresach, gdzie pod rządami zaborców prowadzono ciągle, usilną, prowokacyjną, antypolską propagandę i gdzie obecnie w tak krótkim czasie, gruntowna zmiana ideologii nastąpić nie mogła. Znany jest fakt, że nasz sąsiad zachodni, dla elementów nieprzychylnych Polsce znalazł wyjście — „podwójne poddaństwo”.

Akta Trybunału Oficerskiego mogłyby zainteresować wielu!...

W początku 1923 r. Rada Ambasadorów przyznaje Polsce stałe granice, które następnie zatwierdza Liga Narodów. W tymże roku zachodzi fakt wielkiej doniosłości, a mianowicie: bezkrwawa okupacja znacznego pasa prowincyj nad Renem przez wojska Ententy.

Stało się to z powodu planowych i systematycznych zwlekań rządu niemieckiego w wypełnianiu zobowiązań pieniężnych, na mocy traktatu Wersalskiego zaciągniętych. Rząd niemiecki ulega tej okupacji, bez stawiania najmniejszego oporu.

Jako na najważniejszy czynnik uzasadniający niemożliwość spłaty kontrybucji nałożonej na Niemcy: rząd wskazuje na krach finansowy.

I rzeczywiście, degrengolada marki niemieckiej wyprzedza nawet i markę polską, ale z tą wielką różnicą, że zapobiegliwi finansiści niemieccy nim ujawnili swe bankructwo, potrafili porozsprzedawać ogromną ilość swojej markowej waluty po dobrej cenie na giełdach zagranicznych i zabezpieczyli sobie duże kredyty w Ameryce.

Trzeba wziąć pod rozwagę i to, że kraj niemiecki wcale nie ucierpiał w okresie wojny.

Poza krótkotrwałym wkroczeniem wojsk rosyjskich do wschodnich Prus, w sierpniu 1914 r., które zakończyło się katastrofalną porażką tychże wojsk,adaną przez Hindenburga pod Tanenbergiem, wojna była prowadzona na terenach Ententy, a nie Niemiec.

Pozatem Niemcy jeszcze przed zawarciem Traktatu Wersalskiego i stale potem, są bezkonkurencyjnymi eksploatatorami największej kolonii na kuli ziemskiej — terenów byłej Rosji...

U nas w Polsce, bez żadnych złudzeń, dzieje się faktycznie coraz gorzej z walutą markową i kredytu nie mamy, ani zagranicą, ani wewnątrz kraju.

W lutym za 100 polskich marek płacono jeszcze 2 centymy francuskie, a od jesieni giełdy zagraniczne już wcale nie uznają waluty polskiej.

2 sierpnia za bilet drugiej klasy ze Zbąszyna do Berlina zapłaciłem 264 tysięcy polskich marek; wracając po miesiącu za ten sam bilet zapłaciłem 11 mi-

ljonów marek. Mówiono mi, że w końcu października ten sam bilet kosztował — 468 milionów...

W marcu odbył się w Moskwie prowokacyjny proces przeciw licznej grupie księży katolickich z arcybiskupem Cieplakiem na czele.

Prokuratorem w tej sprawie był nasz nieprzejednany wróg Krylenko (syn rosyjskiego urzędnika w Kongresówce, wychowaniec szkoły średniej w Kongresówce).

Karjera jego po przewrocie bolszewickim była ciekawa. W randze „chorążego” zostaje mianowany przez rząd komunistyczny, ni mniej, ni więcej tylko — głównodowodzącym wszystkich sił zbrojnych Rosji („gławkowierch”), w zastępstwie generała Duchonina, który za jego wiedzą, zostaje w ohydny sposób zamordowany w pociągu.

Opowiadał mi jeden z moich kolegów wiceprezesów Naczipolu (mecenas J.), że wracając ze „Stawki” (główniej kwatery), został z kilku członkami Naczipolu zaproszony przez „gławkowiercha” Krylenkę na obiad do jego wagonu stołowego (prawdopodobnie był to jeden z luksusowych byłych pociągów cesarskich).

W czasie obiadu siedział on obok Krylenki, który na cały głos wygłaszał najsłabsze sentencje z krasomówczego repertuaru komunistycznego, ale jednocześnie, parę razy trąca go nogą pod stołem i sarkastycznie się uśmiecha...

Wynik procesu można było z góry przewidzieć. Arcybiskup Cieplak i Jego najbliższy współpracow-

nik prałata Konstanty Budkiewicz, otrzymują wyroki śmierci.

Co do prałata Budkiewicza, to wyrok wykonano w najkrótszym czasie i „ustalonym sposobem”: wywołują prałata z celi (było to w noc wielkanocną), każą mu zabrać z sobą manatki, niby to dla przeniesienia go do innego lokalu i w drodze, tuż w gmachu, strzałem z tyłu, w głowę — zostaje zabity na miejscu.

Na Arcybiskupie Cieplaku zaś wyroku nie spełniono, bo, szczególnie po zabójstwie Budkiewicza, z chwilą gdy cały świat kulturalny z papieżem Piussem XI na czele, wdaje się w tę sprawę, rząd bolszewicki zmienia karę śmierci na banicję.

Powrót tego wybitnego pasterza i kryształowo szlachetnego człowieka do kraju, wzbudza w całej Polsce żywiołowe objawy czci i hołdu.

Byłem przy Jego przyjeździe do Warszawy i wyczułem na sobie ten entuzjizm.

W kilka dni po Jego powrocie, oboje z żoną odwiedziliśmy Go, a następnie sam zaszczycił nas wizytą przed swym wyjazdem do Rzymu. Łączyła nas z nim długoletnia znajomość jeszcze na terenie petersburskim.

W Rzymie Ojciec Święty przyjmuje arcybiskupa Cieplaka z wyróżniającymi honorami. Zamieszkuje on tam dłuższy czas i zostaje mianowany metropolitą wileńskim, ale do swojej nowej diecezji przybywa tylko w 1924 r. i to — w trumnie...

Polacy ze Stanów Zjednoczonych proszą Go, by przyjechał do Ameryki przed wyjazdem do Wilna. Udaje się tam chętnie, lecz widocznie jeszcze nie zupełnie wypoczęty po przejściach w więzieniach rosyjskich, gdyż objeżdżając bez odpoczynku liczne parafje polskie, zapada na zapalenie płuc i kończy życie w jednej z lecznic Nowego Jorku.

O obu tych wyjątkowo wybitnych pasterzach, ja-kiemi byli arcybiskup Cieplak i ks. Budkiewicz, da-łoby się, — a nawet powinno — napisać specjalną, wyczerpującą monografię...

Na dzień 3 Maja wyznaczona została uroczystość odsłonięcia (powtórnego) pomnika marszałka Józefa Poniatowskiego na placu Saskim. Pomnik ten, dłuta sławnego Torwaldsena, stał w Warszawie jeszcze przed powstaniem listopadowem.

Po kapitulacji Warszawy cesarz Mikołaj I, kazał zrzucić pomnik, a rzeźbę podarował Paszkiewiczowi, który odesłał ją do swego majątku (w okolicach Homla), gdzie pozostawała do końca wojny wszechświatowej.

Na uroczystość odsłonięcia pomnika przyjechał marszałek Foch.

W czasie kilkudniowego pobytu marszałka w Polsce, wszystkie warstwy społeczne współzawodniczyły w okazaniu sympatji i hołdu temu najwybitniejszemu dowódcy, wielkiemu patryjocie, nieskazitelnemu obywatelowi i szczeremu przyjacielowi naszego Narodu.

Ogólny nastrój był bardzo podniosły.

Marszałek Foch zadziwiał swoją wytrwałością i energją; od najwcześniejszego ranka, do późnej nocy był czynny.

W czasie uroczystości 3 Maja sama defilada wojska, delegacyj i szkół trwała bez przerwy kilka godzin.

Nie zatrzymuję się obszerniej nad tą wizytą, która urzędowo przeszła niby to i gładko, ale chcąc być ścisłym i obiektywnym należałoby wskazać, na pewne poważniejsze niedokładności, chociażby już tylko etykietałne.

Przytoczę ich parę.

Marszałek Foch cieszy się tak zasłużoną, powszechną czcią i poważaniem, że jego przyjazd do innych krajów był pewnego rodzaju świętem narodowym.

W Anglii przyjmuje go na dworcu sam król w galowym mundurze, w asyście następcy tronu i wyższych wojskowych. Z wielką paradą król osobiście odwozi marszałka do jego mieszkania.

Przez cały czas jego pobytu w Anglii oddają mu honory królewskie i stała asysta przy nim składa się z najwybitniejszych generałów.

U nas przyjmuje go minister wojny, a dla asysty przy nim nie wyznaczono żadnego z generałów, lecz tylko dwóch oficerów.

Powóz, którym jechał marszałek Foch z dworca do Prezydium Ministerów, nie miał żadnej eskorty i nie odznaczał się niczem od szeregu innych, tak że tłumnie zalegająca ulicę publiczność, narazie, nie

mogła zorientować się, w którym z kilku szybko przejeżdżających pojazdów znajduje się marszałek.

W czasie obiadu galowego, wydanego na Zamku, na cześć marszałka Focha, zachodzi charakterystyczny fakt, nieprzybycia, „z powodu niezdrowia”, kilku najwybitniejszych dygnitarzy (którym, z mego punktu widzenia, należało się być obowiązkowo).

Ten dziwny zbieg „choroby” aż kilku dygnitarzy naraz, mógłby wzbudzić nawet pewien niepokój, ale szczęśliwie się ułożyło, że już nazajutrz rano, wszyscy pomyślnie „wyzdrowieli”...

Coprawa zaszedł i inny fakt, który może pozostał nieznany marszałkowi Fochowi: na raucie wydanym na zamku na jego cześć — Prezydent pierwszy raz zjawia się we fraku.

Chociaż to niema nic bezpośrednio wspólnego z przyjazdem marszałka Focha do Warszawy, opowiem fakt, który podano mi jako autentyczny... Nie będę mówił w jakim mieście zagranicą, któryś z naszych dygnitarzy, z wieku mogący być jednym z młodszych synów marszałka, poczuł się obrażony i wypowiedział to głośno, kiedy w czasie obiadu wskazano mu miejsce z lewej strony gospodyni domu, a marszałkowi Fochowi — z prawej...

W końcu maja gabinet z generałem Sikorskim na czele podaje się do dymisji (w Sejmie przy głosowaniu kwestji o votum zaufania otrzymuje tylko 116 głosów na 397 głosujących). Wkrótce marszałek Piłsudski rezygnuje ze stanowiska szefa Sztabu Generalnego.

Formuje się „koalicyjny” gabinet z pośłem Wito-
sem jako premierem.

W czerwcu przyjeżdża do Warszawy rumuńska
para królewska z rewizytą byłemu Naczelnikowi
Państwa, marszałkowi Piłsudskiemu.

Pobyt królewskiej pary trwał 3 dni.

Na raucie w poselstwie rumuńskim miałem za-
szczyt, w liczbie innych generałów, być przedstawi-
ony królowi i królowej; w czasie krótkotrwałej roz-
mowy pozwoliłem sobie zaznaczyć, że najprawdo-
podobniej jestem ich najdawniejszym znajomym
w Polsce, bo miałem już raz zaszczyt być im przed-
stawiony na dworze rosyjskim, kiedy byli — jeszcze
narzeczeni.

Matka królowej Rumuńskiej była córką cesarza
Aleksandra II, a więc rodzoną siostrą Wielkiego
Księcia Włodzimierza.

Obie rodziny często wzajemnie odwiedzały się,
stąd wypadło mi niejednokrotnie bywać na śniada-
niach i obiadach przy jednym stole, z obecną kró-
lową rumuńską...

II.

MOJA PODRÓŻ DO RZYMU. KRONIKA WYPADKÓW.

W początkach sierpnia pojechałem do Rzymu. Powodem podróży było, wyrażone przez Papieża Piusa XI przy przyjęciu jednej z naszych pielgrzymek życzenie, bym przyjechał do Rzymu, a przytem polecił mi powiedzieć, że o ile przyjadę będę niezwłocznie przyjęty przez Niego.

Tak mi wypadło, że mogłem wyruszyć dopiero w pierwszych dniach sierpnia.

Pojechałem na Berlin, Monachium, Tyrol. Pierwszy raz jechałem tą drogą, bo zwykle jeździło się do Rzymu utartym gościńcem — Wiedeń, Wenecja.

Do Rzymu przyjechałem 6 sierpnia w samo południe. Upał był szalony. Dobrze się złożyło, że nie potrzebowałem szukać mieszkania, bo jeszcze w Warszawie, jeden z przyjaciół mojego syna, stale przebywający w Rzymie, będąc w Warszawie za interesami proponował mi bym zamieszkał u niego.

Mieszkanie składało się z 5 pokoi, część okien wychodziła na Kapitol. Wraz z mieszkaniem korzy-

stałem z bardzo sympatycznej służby, składającej się z męża i żony.

Widocznie Włosi z natury mają zdolności dyplomatyczne, bo oboje zręcznie udawali, że rozumieją moje pseudo - włoskie dialogi.

Co do mnie bowiem, to mówiąc szczerze, narazie nie mogłem wiele zrozumieć z tego co mówili, ale to nie przeszkadzało stałej, ożywionej konwersacji...

Skoro się tylko upał zmniejszył pojechałem do naszej ambasady, z prośbą o wyrobienie mi, w możliwie krótkim czasie, osobistej audjencji u Ojca Świętego.

Obiecano mi to, ale jednocześnie uprzedzono, że w okresie upałów ilość osobistych audjencji jest ograniczona.

Normalnie, w tym okresie, nawet kardynałowie oczekują kolejki do 8 dni i tylko w drodze wyjątku była cesarzowa austriacka Zyta czekała tylko 6 dni.

Prosiłem tylko o jedno — i to mi zostało przyrzeczone, a mianowicie, że ambasada zawiadomi odpowiedni urząd o mojej prośbie tegoż samego dnia (w poniedziałek).

Nazajutrz rano spędziłem częściowo, już na oglądaniu miasta. Potem byłem na śniadaniu u naszego ówczesnego ministra przy Kwirynale (p. Zaleskiego) i gdy wróciłem do domu, znalazłem już u siebie urzędowe zawiadomienie, że jutro — we środę 8 sierpnia — będę przyjęty przez Ojca Świętego o godzinie 11¹/₂ rano.

Nie mogłem z powodu pośpiesznego wyjazdu zaopatrzyć się w konieczne przy podobnych przyjęciach galowe ubranie, więc pojechałem do Watykanu w mundurze.

Każdy drobny szczegół tych 30-kilku minut spędzonych na rozmowie z papieżem Piusem XI pozostanie mi w pamięci na zawsze...

Czułem się mocno wzruszony, wstępując pierwszy raz w życiu, w te historyczne mury w mundurze polskim.

Przy wejściu straż papieska oddawała mi przepiśowe honory wojskowe.

Tuż u wejścia do sal wewnętrznych ujrzałem wiszący duży obraz Matejki — „Sobieski pod Wiedniem”. Nie powiem, żeby obraz ten można było zaliczyć do najlepszych dzieł naszego mistrza.

Przechodząc przez amfiladę sal, z powodu nastroju w jakim byłem, nie rozglądałem się uważniej po wielkiej ilości, napewno bardzo wybitnych dzieł sztuki...

Miałem przy sobie fotografię, przedstawiającą chwilę, kiedy powóz z byłym nuncjuszem Polski arcybiskupem Ratti, obecnym Papieżem — podjeżdża pod Belweder, a ja siedzę obok Niego.

Miałem zamiar prosić Ojca Świętego o podpis tej fotografii, lecz kiedy, czekając na swoją kolej, w poczekalni przy gabinecie Papieża, w ciągu rozmowy pokazałem fotografię komuś z najbliższego otoczenia, zwrócono mi uwagę, że zasadniczo wzbro-

nione jest prosić o autografy papieskie, w czasie prywatnych audjencji.

Tego dnia odbyły się 4 osobiste audjencje, między którymi byłem trzeci z kolei.

Pierwszy został przyjęty Kardynał Vompi, następnie nuncjusz jednego z państw europejskich, a po mnie arcybiskup z Anglii.

Każdy z moich poprzedników pozostawał około 12 minut.

Do gabinetu wprowadził mnie młody prałat, którego w kilka lat potem widziałem w Warszawie, przywiozł bowiem kapelusz kardynalski obecnemu kardynałowi Hlondowi.

Przy wejściu uklękliśmy obaj na jedno kolano.

Ojciec Święty zbliżył się do mnie i powitał mnie z miłym uśmiechem następującymi słowami: „Kochany generale, nim zaczniemy rozmawiać, proszę powiedzieć, co się dzieje z żoną i synem”...

Jak się okazało potem audjencja moja trwała z górą pół godziny.

Rozmowa toczyła się na najróżniejsze tematy, a przypadkowo wypadło mówić i o tej fotografii, którą miałem przy sobie. Było to tak.

W trakcie rozmowy pytał mnie Papież o szczegóły działalności prałata Budkiewicza, zabitego w Moskwie. Ja chcąc dać żywszy obraz charakteru zmarłego i wyraźniej określić jego działalność, zrobiłem takie porównanie. O ile arcybiskup Cieplak był wodem duchowym w walce religji katolickiej z komu-

nizmem, na terenie byłej Rosji, o tyle ks. Budkiewicz był jego szefem sztabu.

Na to Ojciec Święty mi powiedział: „I dlatego, generale, został zabity”.

Mówiąc dalej o tym przedmiocie, podniosłem, niezrozumiałą dla nas Polaków, kwestję dotyczącą roli katolickiego duchowieństwa na Litwie, które, o ile możemy sądzić z faktów, nie waha się obejmować wybitnych stanowisk w zespole rządu, który jest uległą i posłuszną kreaturą rządu komunistycznego w Rosji, wrogiego nie tylko katolicyzmowi, ale i całemu chrześcijaństwu; rządu, który na murach cerkwi każe wypisywać, że „religia to jest trucizna dla ludu”. Papież wtedy zmienił przedmiot rozmowy i zapytał mnie, czy pamiętam jak obaj jechaliśmy do Belwederu.

Korzystając ze sposobności oświadczam, że mam przy sobie fotografię, na której został zdjęty Jego przyjazd do Belwederu i, że mam szczęście być obok Niego.

Papież na to prosi mnie, żebym pokazał mu tę fotografię, ogląda ją uważnie i mówi: — „Fotografia bardzo mi się podoba, i wie generał — co? Ja tę fotografię zachowam sobie, jako pamiątkę po generale, ale niechcąc być dłużnym dam generałowi dwie Moje fotografie — jedną dla żony, a drugą dla syna”...

Nie widziałem Papieża zgorą dwa lata i wydał mi się bardzo blady, więc pozwoliłem sobie zapytać, czy go bardzo męczą upały. Na to otrzymałem taką odpowiedź: „Ani upały, ani mrozy mnie nie męczą —

jak to bywało w Polsce, kiedy Mi wypadało zimą odbywać dalsze podróże nawet i w nieopalanym wagonie, ale obecnie najwięcej Mnie męczy brak ruchu. — Ja stary alpinista!..."

Po audjencji czułem się tak mocno wzruszony, że odniosłem tylko swój bilet wizytowy do kardynała Gaspari'ego i poszedłem do Katedry świętego Piotra, w tych godzinach prawie pustej, by w samotności ochłonąć z wrażenia po tej wyjątkowej audjencji...

Urlop miałem krótki, więc zabawiłem w Rzymie jeszcze tylko kilka dni i chociaż w tym „wiecznym mieście" bywałem już kilkakrotnie, wiele miałem do roboty, bądź przy odświeżaniu w pamięci tego, co widział się już przedtem, bądź też przy oglądaniu tego, czego jeszcze nie znałem. Czas zleciał mi wyjątkowo szybko; od najwcześniejszego ranka, do rozpoczęcia południowych upałów zwiedzałem muzea, galerje, kościoły...

Niektóre dzielnice wiecznego miasta, nałożyły nowoczesne szaty, zjawiły się na placach i nowe dzieła sztuki — pomniki Garibaldiego i króla Wiktora Emanuela, Grób Nieznanego Żołnierza; nowoczesnej architektury budynki.

Ale bądź co bądź, odwieczny stary Rzym dominuje — i, według mnie, zawsze dominować będzie...

Z Rzymu wyjechałem wieczorem i trafiłem na pościąg bez sleepingu. W przepełnionym przedziale drugiej klasy, było tak gorąco i duszno, że większą część nocy spędziłem w korytarzu przy oknie.

Nie zorjentowałem się, że powinienem zmienić pociąg w Genui, bo ten szedł do Torino i zdałem sobie z tego sprawę dopiero wtedy, kiedy pociąg ze stacji St. Pietro d'Arena, poszedł w kierunku nie północnym, a wschodnim.

Wysiadłem na najbliższej stacji i czekając na połączenie w kierunku Genui, byłem świadkiem jak poczekalnia zapełniała się liczną publicznością, która sądząc z rozmów, jechała na zajęcie do Genui.

Liczne grupki rozpoczęły na poczekaniu ożywione polityczne debaty.

Za młodych lat dość często zwiedzałem Włochy, ale muszę przyznać, że obecnie, od chwili dojścia Musoliniego do władzy, z każdym rokiem wyczuwa się coraz większy ład i porządek wogóle, a szczególnie my turyści odczuwamy to na kolejach.

Zatrzymałem się krótko na Rivierze, gdzie po wojnie i w najgłuchsze nawet lato jest „sezon letni”. Widocznie podróżujących nie brak, niektóre bowiem obecnie „nowomodne” plaże, jak na przykład „Juin sur les Pins” jest latem zatłoczona, nie wiem o ile „wytworną”, ale w każdym razie zamożną publicznością, bo chociaż kąpiele są bardzo przyjemne, ceny są bardzo — „słone”.

Samo przez się rozumie, przez cały dzień i noc rozbrzmiewają dancingi, a hazardowna gra wre w Casino.

W Paryżu spędziłem zaledwie kilka dni, z powodu braku czasu i pojechałem do Lucerny, dokąd mnie zaprosili pp. Pf., którzy są właścicielami jednej z najpiękniejszych will w Lucernie.

Pan Pf. przez kilka lat bawił w Warszawie, jako minister republiki szwajcarskiej.

Chociaż koniec sierpnia w Lucernie już nie jest okresem sezonowym i wszechświatowi „glob-troterzy”, jak ptaki wędrowne rozpoczynają swój odlot do inmodnych sezonowych miejscowości, ale gościnnie dom pp. Pf. jeszcze roił od odwiedzających.

Jedni z nich mieli wkrótce odjechać na włoskie jeziora, inni do Biarritz, a byli i tacy, którzy wybierali się do Indyj i Japonji.

Czas sprzyjał mi i pod tym względem, że ta „perła Szwajcarii”, którą w tym sezonie najczęściej zlewają nieustanne deszcze, miała nad sobą błękitne niebo.

Naokoło panuje wyjątkowa cisza i spokój tak, że nawet duże koła białych, niewielkich stateczków wrzynają się tak powoli w zwierciadlaną powierzchnię jeziora, że posuwają statek bez hałasu i szumu.

Prawdopodobnie temi stateczkami przed wielu dziesiątkami lat jeździli nasi dziadowie i ojcowie i chyba, już mało gdzie na Bożym świecie są jeszcze takie zabytki przeszłości, jak te statki kursujące, do dziś dnia na jeziorze czterech kantonów.

W jeden z takich zacisznych wieczorów, spacerując nad jeziorem, obserwowałem jak lecący z Flueln hydroplan powoli opuszczał się na powierzchnię jeziora.

Widziałem to pierwszy raz i wrażenie było silne...

W tych warunkach używałem doskonałego wypożyczenia na łonie pięknej przyrody w wyborowym towarzystwie kulturalnych i ciekawych ludzi.

Wypoczęty wróciłem do Warszawy, gdzie dawało się wyczuć wzmagające ogólne przygnębienie...

W październiku następuje w Warszawie wybuch prochowni w Cytadeli. Dużo ofiar ludzkich i bardzo wielkie straty materialne nie tylko w obrębie Cytadeli, ale i na mieście. Nawet u nas (na placu Saskim) popękało parę szyb i wyrwane zostały okienne zawiasy.

Na mocy wyników śledztwa rząd ogłasza, że została skonstatowana „zła wola”, — ale sprawców zamachu nie wykryto.

Agitacja komunistyczna rozzuchwala się.

Były wypadki podkładania bomb przy wejściach do mieszkań, przytem nie obeszło się bez ofiar ludzkich.

W początku listopada, w Krakowie, dochodzi do zaburzeń, faktycznie znów na tle komunistycznym, chociaż i z posłami P. P. S. na czele i z hasłami socjalistycznymi.

Szwadron ułanów wysłany dla rozpędzenia tłumu bez użycia broni, zostaje w biały dzień, zdradziecko zmasakrowany przez uzbrojonych bandytów.

W wąskich uliczkach strzelają żołnierzom w plecy z okien i dachów.

Kraków przez parę dni pozostaje w ręku rozagitowanego tłumu...

Prawie jednocześnie i w Warszawie daje się spostrzec pewien niepokój, wśród podnieconych mas, ale to się kończy jednak tylko walką „bojówek P. P. S.

i komunistów", (które uzbrojone „działają” w stolicy Państwa na oczach władz — bezkarnie!!).

Ofiary są nietylko z jednej i drugiej strony, ale także i wśród przygodnych przechodniów...

To co wtedy działo się u nas, miało dużo analogji z wypadkami jakie zaszły w Rosji jesienią 1917 r. przed przewrotem bolszewickim.

W Rosji „Rząd Tymczasowy” miał wtedy na czele „dyktatora” Kiereńskiego.

To czego byłem świadkiem naoczny i to co potem czytałem o tym okresie, wzbudza we mnie uczucie pogardy dla tego kabotyna, u którego rewolucja rosyjska wywołała mózgowy wstrząs na tle manji wielkości.

Przed rewolucją był to sprytny, inteligentny, wiecowy trybun(który niejednokrotnie wygłaszał przemówienia i na temat swojej sympatji dla spraw polskich). Ale kiedy po wybuchu rewolucji trafia do władzy, narazie w pierwszym gabinecie rewolucyjnym, jako minister sprawiedliwości, po paru miesiącach jako minister wojny, wkrótce potem jako premier i głównodowodzący armją, a faktycznie dyktator, wtedy coraz jaskrawiej wychodzi na jaw jego polityczne parweniuszostwo, brak orjentacji w szerszym zakresie, a więc i zupełny brak cech męża stanu i rządcy.

Coprawa upędza się za popularnością i wygłasza stale przemówienia.

Nie mając jednak określonej wytycznej, rządzi z dnia na dzień, zawsze chwiejny i niezdecydowany.

Kiedy dowiedziono mu na dokumentach, że Lenin, Trockij i wielu innych są płatnymi szpiegami niemieckiego sztabu generalnego, zgadza się na aresztowanie ich, lecz wkrótce samowolnie ich zwalnia.

Dla uzupełnienia charakterystyki tego dyktatora, trzeba dodać, że zamieszkuje pałac cesarski, gdzie śpi w łóżku cesarza Mikołaja II, i jak opowiadano, urządza stałe libacje i orgie.

Dłużej zatrzymałem się nad tą, w gruncie dla nas mało ciekawą osobistością, dlatego, że w Rosji jeszcze przed moją ucieczką, a następnie u nas w Polsce, już nieraz obijało się o uszy określenie „kierenśczyzna“, a w końcu 1923 r. słowo to coraz częściej pojawia się na wielu ustach w Warszawie...

Jakże inaczej traktowane są sprawy we Włoszech, gdzie Mussolini dobitnie i wyraźnie akcentuje swoją pogardę dla rządów komunistycznych w Rosji, co jest tembardziej znamienne po tym „Wersalu“, z jakim zachowywały się wyższe władze włoskie, względem bolszewików jeszcze wiosną 1922 r., kiedy w czasie konferencji Państw Europejskich w Genui, podczas galowego śniadania na pancerniku włoskim, arcybiskup genueński pije zdrowie reprezentanta rządu komunistów, Cziczierina...

Czytałem sprawozdanie przyjęcia jednego z rosyjskich dygnitarzy komunistycznych przez Mussoliniego.

Przyjmując go na ogólnej sali, nie podaje mu ręki i mówi do niego: „Ja gardzę panem i pańskim rządem i uprzedam, że w razie jakichkolwiekbych czynów na

tle zamąceń propagandowych, pan natychmiast będzie usunięty z Włoch"...

W końcu 1923 r. następuje w rządzie nowa rekonstrukcja gabinetu.

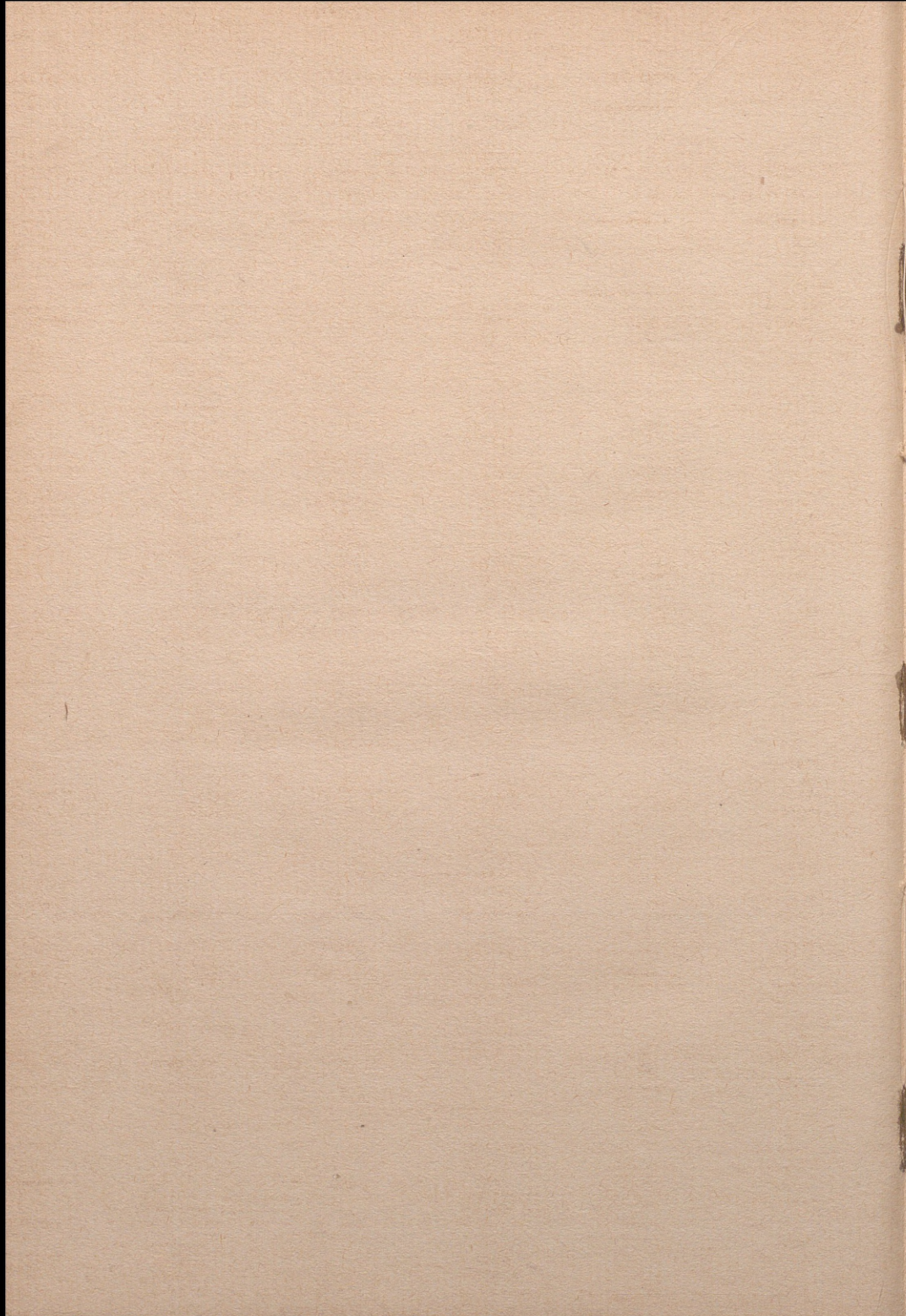
Gabinet „koalicyjny” przekształca się na gabinet „fachowy”, który tworzy — p. Władysław Grabski!

Żeby nie skończyć kroniki rocznej pod smutnem wrażeniem, chcę przytoczyć fakt, co prawda zupełnie drobny, ale który może wzbudzić nastrój nieco weselszy. 5 listopada otrzymuję urzędowe pismo, złączeniem dekretu, podpisanego 16 czerwca, dającego mi prawo na noszenie orderu zagranicznego. Dokument ten z biura ministerjalnego do mnie na plac Saski podróżował przez 140 dni!...

LATA 1924, 1925

I

POCZĄTEK 1926



III.

SPRAWY EKONOMICZNE I POLITYCZNE.

Od 1 kwietnia 1924 r. zostaje wprowadzona w Polsce waluta złotowa, ale już najbliższa przyszłość wykazała, że zapowiedź „wieku złotego”, okazała się niestety tylko zwyczajnem „prima aprilis”...

Na początku 1924 r. za dolara płacono $7\frac{1}{2}$ miliona marek, a w rozrachunkach życia codziennego figuruja już liczby astronomiczne.

Jako konkretny fakt przytoczę, że od jednego z generałów powszechnie szanowanego, który przed kilku laty zajmował bardzo wybitne stanowisko w wojsku, wobec przypuszczenia o Jego czynnym udziale w antykonstytucyjnej akcji P.P.P. (Polskiej partji patryjotycznej), władze sądowe przy rozpoczęciu śledztwa w tej sprawie, dla zwolnienia go z aresztu zażądały kaucji w sumie pięciu miliardów marek. (Kontrybucja nałożona przez Niemców na zwyciężoną w 1871 roku Francję, wynosiła również pięć miliardów — franków)...

Znam również fakt wynajęcia normalnego 6 — 7 pokojowego umeblowanego mieszkania za 80 funtów szterlingów miesięcznie, co stanowiło około $3\frac{1}{2}$ miljarda marek. Coprawda gospodarz tłumaczył się tem, że jego żona wybiera się zagranicę, więc potrzebuje sporo gotówki...

W dziedzinie przemysłu i handlu coraz gorzej; ruiny i bankructwa rosną — w progresji geometrycznej.

W początku 1924 r. bawił w Warszawie ekspert finansowy p. Jung, z kilku fachowcami pomocnikami. Po skrupulatnem zaznajomieniu się z ówczesnym stanem ekonomicznym Polski, układa sprawozdanie. Wnioski zeń wysnute nie są w gruncie, pesymistyczne, ale stanowczo odradza pośpieszne przeprowadzenie reformy walutowej. Uwagi jego ogłoszono i czytając je miałem wrażenie, że są podstawowe i logiczne.

Opinia p. Junga nie wpłynęła na odroczenie terminu i od kwietnia, monetą polską jest „złoty” równowartościowy szwajcarskiemu frankowi (5,18 franków za dolara). W stosunku do marek kurs jednego złotego równy jest wartością 1.800.000 marek.

Można było powziąć i wykonać tę reformę, bo w tym czasie otrzymaliśmy dwie większe pożyczki zagraniczne. Jedną amerykańską na 35 miljonów dolarów (z 8 procent w cenie 81 za 100 z 20-letnią amortyzacją). Drugą włoską, w sumie 400 miljonów lir włoskich, ale tę ostatnią pod zastaw Państwowego monopolu tytoniowego i z zobowiązaniem sprowadzania rok rocznie z Włoch znacznej ilości tytoniu.

Z tego widać, że warunki obu pożyczek były ciężkie. Ale w każdym razie nowo utworzony Bank Polski otrzymał pewien zapas walut zabezpieczających częściowe pokrycie stałego kursu złotego.

Pierwsze miesiące na pozór szło normalnie, ale już w krótkim czasie, coraz częściej dają się spostrzec objawy zatrważające.

Zaczyna się od tego, że zjawia się w obiegu i szybko rośnie wielka ilość drobnych banknotów złotych — „krótkoterminowe” zobowiązania ministerstwa skarbu, nie mające pokrycia Banku Polskiego.

Pozatem, z każdym miesiącem, coraz bardziej zalewa Polskę bezwartościowa metalowa moneta — „bilon”, która również niema żadnego pokrycia.

Bezwolni urzędnicy, którym większą część gaży wypłacają drobnym niklowym bilonem, pokornie zaopatrują się w specjalne w tym celu uszyte woreczki, a nawet i worki, dla znoszenia do domu tego prawdziwego „ciężaru”...

Pomaga to nie nadługo, bo nawet prowizorycznie „szydła” w workach bilonowych ukryć się nie dało.

Od pierwszych miesięcy 1925 r. „złoty” nabiera zdecydowanej tendencji do lecenia nadół.

W końcu 1925 r. za dolara urzędowo już płać na giełdach do 11 złotych zamiast 5.18.

Staje się zrozumiałem, że w tych warunkach tempo ruin i bankructw szybko wzrasta.

Nie obeszło się bez szeregu samobójstw na tem tle.

Bankrutują i likwidują się najróżniejsze przedsiębiorstwa, a w tem cały szereg banków.

Coprawda w niezdrowej atmosferze spekulacji zjawiała się w Polsce anormalna ilość banków, nie mających w znacznej części należytych podstaw istnienia i którym ściśle mówiąc, nazwa „baniek mydlanych”, a nie „banków” lepiejby odpowiadała.

Niezbędny dla ekonomicznego rozwoju kraju normalny (i przytem długoterminowy) kredyt staje się dla większości społeczeństwa czemś nieuchwytnym, bo jeżeli egzystuje jakikolwiekbaż rządowy kredyt, to tylko dla wybranej elity.

Prywatny (czytaj lichwiarski) kredyt dosięga takich rozmiarów jak naprzykład 8 (a nawet i do 10) procent miesięcznie.

Muszę się przyznać, że i mnie osobiście zdarzało się brać pożyczki — „z wdzięcznością” płacąc po 5 procent miesięcznie.

Samo przez się, że w takich warunkach żaden interes, nawet i bardzo intratny i podstawowy nie miał warunków do wegetacji, cóż tedy mówić o rozkwicie.

W końcu 1925 r. bakrutuje definitywnie i — sam gabinet p. Wł. Grabskiego.

De mortuis aut nihil aut bene...

Chcę tylko znów zakończyć ten temat z punktu widzenia humorystycznego.

Nie mam talentu do zapamiętywania słyszanych anegdot i dowcipów, a wtedy na temat ministrów, była ich tak wielka ilość, że z tego materiału dałoby się ułożyć książkę.

Przytoczę tylko jedną anegdotę, która pozostała mi w pamięci:

Nasi sąsiedzi ze wschodu, dowiedziawszy się o ustąpieniu ministra skarbu u nas, za wszelką cenę chcą zaprosić go do Bolszewji, żeby stosował i u nich te metody, które w Polsce doprowadziły do zupełnej ruiny „burżujów” w ciągu niespełna trzech lat, podczas gdy im, nawet z pomocą teroru, nie udaje się tego osiągnąć przez lat siedem...

Nowy minister skarbu P. Zd. (kandydat „prawicy”), rozpoczyna swoją działalność od niezwłocznego wprowadzenia w czyn jednej z podstawowych zasad politycznej ekonomji głoszącej, że należy albo zwiększać dochody, albo zmniejszać rozchody. Zatrzymuje się przede wszystkim na tej ostatniej i w tym celu zarządza: „w celach sanacyjnych” opodatkowanie wszystkich poborów urzędników, emerytów, inwalidów, wdów i sierot, przez potrącenie z ich głodomorowych płac i emerytur do 6 procent miesięcznie.

Wynalazek ten, samo przez się, wpłynął częściowo na zmniejszenie deficytu, a o ileby zwiększał się dalej i osiągnął powiedzmy nie 6 a 60 procent to wyniki rachunkowe byłyby nawet imponujące i z wielką przyszłością, bo wzrosłaby znacznie ilość osób, którymby się już nic nie płaciło...

Ale ciekawy jest fakt, że ten rodzaj „opodatkowania” nie znalazł naśladownictwa w żadnym innym państwie, widocznie więc został niedoceniony...

O innych rzeczowych sposobach sanacji naszych finansów poza stałymi próbami szukania zagranicz-

nego kredytu (i to przeważnie w sposób mało poważny) nie dało się słyszeć...

Swoją drogą, nietylko u nas, ale i w innych krajach nie najlepiej było finansowo.

Nietylko prawie wszystkie powstałe po wielkiej wojnie państwa odchorowały dziecinne choroby ekonomiczno-finansowe, ale i wielkie państwa, z ustalonym od wieków ustrojem bytu ekonomicznego, przechodzą przez ciężkie wstrząsy wewnętrzne.

Belgia, Francja, a nawet i Anglja zaczynają coraz boleśniej odczuwać niepokój i trudności z powodu konieczności regulowania rozrachunków ze Stanami Zjednoczonymi, za pożyczki zaciągnięte w okresie wielkiej wojny.

Niemcy, którzy wedle traktatu Wersalskiego muszą spłacać kontrybucję, nietylko z tem nie śpieszą wcale, ale nawet po ułatwieniach opracowanych przez specjalną komisję i ułożonych wedle planu Dawesa nie płacą nic i przytem nie omijają żadnej sposobności, żeby, o ile się da, szkodzić tak swoim zwycięzcom, jak również i nowopowstałym państwom sąsiednim. Jednocześnie wzbudzają u siebie w kraju chęć odwetu i nienawiść.

Na jednym z niemieckich banknotów markowych wydrukowany był niesamowitej treści „wodny znak”: francuz, w czapce frygijskiej, ssie krew niemieckiego robotnika.

Charakterystycznym również było i wykrycie — w początku 1926 r., — cprawda nie w samych Niemczech, ale w Budapeszcie, stolicy ich byłych aliantów,

prowadzonej na wielką skalę i wzorowo zorganizowanej pod względem technicznym fabryki, produkującej masowo francuskie tysiącfrankówki.

W tej imprezie biorą udział ludzie z tak wybitnymi, historycznymi nazwiskami jak książę Windischgrätz i inne „osoby z towarzystwa”...

Przechodzę do kroniki spraw politycznych.

W początku 1924 r. umiera Wilson, który odegrał tak wybitną historyczną rolę w drugiej połowie wojny wszechświatowej i na kongresie wersalskim.

Znamienny dla Polski „punkt 13” jego ultimatum do rządu niemieckiego w październiku 1918 r. i jego traktowanie spraw polskich na kongresie w Wersalu w 1919 r., zasługują, z mego punktu widzenia, na większe zewnętrzne objawy uznania Polski i większą winny zjednywać cześć dla Jego pamięci, niż to czyniono dotychczas. Śmierć Jego równie przeszła prawie bez śladu.

Co prawda Wilson umiera już jako człowiek prywatny, bo na wyborach 1920 r. On i jego zwolennicy przegrywają kampanję wyborczą.

Większość ludu amerykańskiego bowiem była przeciwną jego polityce w stosunku do państw europejskich, co już zaraz po jego powrocie do Ameryki znalazło wyraz w głosowaniu Senatu przy ratyfikacji traktatu wersalskiego...

W roku 1924 Polska otrzymuje stałą placówkę w komisji rozbrojeniowej.

O ile zechcą sobie przypomnieć, ci, którzy czytali moje wspomnienia: „W wolnej Polsce”, w 1922 r.,

kiedy sprawa ta pierwszy raz została poruszona, były Szef Sztabu Generalnego (generał Sikorski) i minister wojny zakomunikowali mi, że ja, jako ich wspólny kandydat mam objąć to stanowisko.

Nim ta sprawa została ustawowo zlegalizowana w Lidze Narodów, minęło dwa lata; w międzyczasie na posiedzenie komisji (bez prawa głosu) byli delegowani nasi przedstawiciele, którzy nie zajmowali nawet żadnego stanowiska w służbie państwowej czynnej, a z chwilą ustalenia etatu ten sam generał Sikorski ówczesny minister wyznaczył już nie mnie, a jednego z dowódców korpusów.

W ten sposób nie miałem sposobności zbliżyć się do źródła, z którego miałem się dowiedzieć o całości kształtu prac Ligi, ale sądząc ze sprawozdań, muszę się przyznać, że według mnie zbyt dużo tam i piszą i mówią...

Armja pracowników stałych, wielka ilość komisyj, podkomisyj, sekretarjatów.

Po za corocznem plenarnem posiedzeniem — trwającym kilka tygodni, trzykrotne co rok posiedzenia Rady, na które zjeżdżają się premierowie czy ministrowie spraw zagranicznych kilkudziesięciu państw, z liczną asystencją i gadanie, gadanie...

Nie wiem jak na innych, ale na mnie osobiście robi dziwne wrażenie, kiedy zespół kilku panów — prawdopodobnie że i wybitnej inteligencji, ale z których jeden stale zamieszkuje w Portugalji, drugi w Costa Rica, a trzeci w Chinach — mają decydować o sprawach, powiedzmy naszego lokalnego zatargu z senatem Gdańskim...

W okresie tych dwóch lat sprawy nasze na polu dyplomatycznym, zbyt wielkich sukcesów nie osiągnęły. Co do naszego przewlekłego sporu z Cechosłowacją o Jaworzynę, definitywny rezultat jest dla nas niepomysłny. Pozatem Litwini otrzymują dostęp do morza w Kłajpedzie. Stosunek nasz z rządem Litewskim nadal pozostaje anormalny, właściwie nie ma żadnych stosunków, ani dyplomatycznych ani konsularnych.

Granice obu Państw są jakby w przededniu rozpoczęcia akcji wojennej.

W naszych drobnych nieporozumieniach z senatem Gdańskim najczęściej Liga Narodów przyznawała rację Polsce. Ale stałego mandatu w Radzie Ligi Narodów jeszcze nie dostaliśmy, ani w 1924, ani w 1925 r.

Jednocześnie Ententa prowadzi nieustanne pertraktacje z rządem niemieckim, o wejście Niemiec do Ligi Narodów.

Jesienią 1925 r. w zacisznem Lokarno, na brzegu jeziora Lago Maggiore, dochodzi do spotkania ministrów spraw zagranicznych Ententy i Niemiec.

Jak raz we Wrześniu 1925 r. wypadło mnie znów być w Lucernie, ale pojechałem tam nie dla odpoczynku, lecz do ciężko chorego syna, który znajdował się tam w sanatorium i skąd wkrótce odwiozłem go do Nicei. Wtedy właśnie rozstrzygała się sprawa, gdzie mają się spotkać ministrowie Ententy z p. Stresemannem. Miejscowe lucernskie władze robiły usilne starania, żeby się to odbyło w Lucernie i rozpoczęto już przygotowanie lokalu. Ale jak wtedy twier-

dzono największy wpływ na to, że zrezygnowano z Lucerny, miało — beznadziejnie szare niebo.

Tego roku lato w Lucernie było niezwykle dżdżyste; mój syn pisał nam, że w Lipcu przez 25 dni padał deszcz i do końca września deszcze nie ustawały wcale.

Prawdopodobnie, żeby niepogodne dni nie wpływały ujemnie na nastrój zebranych, w ostatniej chwili zdecydowano się, na więcej wysunięte na południe — Lokarno, gdzie w przerwach, po wyczerpujących pertraktacjach pp. Briand i Stresemann odbywali wspólne (sielankowe?!) przejażdżki po jeziorze.

Do Lokarna został wezwany i nasz minister spraw zagranicznych; chociaż i on kontrasygnował niektóre z aktów „uchwały lokarneńskiej”, faktycznie nie miał głosu decydującego w tych pertraktacjach, a ponieważ tylko doradczy.

Uważam za wskazane zaznaczyć, że prawie natychmiast po sielankach lokarneńskich, rząd niemiecki, zrywa z nami pertraktacje na tle zawarcia traktatu handlowego i wypowiada Polsce wojnę, co prawda tylko — celną....

Na zakończenie naszych spraw z zakresu dyplomatycznego, chcę zanaczyć, że nie zważając na katastrofalny stan finansów, ilość naszych placówek zagranicznych stale wzrasta. A zdawało się tak na czasie wyższym kierownikom odróżnianie tego co jest „koniecznym”, od tego co jest „pożytecznym”. Najcharakterystyczniejszy był projekt (obecnie już

zrealizowany) utworzenia naszego konsulatu (choćby tylko honorowego) w — Monte Carlo!

Na ten luksus nie stać było cały szereg innych państw nawet i w okresie przedwojennym...

W życiu wewnętrznym Anglii i we Francji zachodzi na tle politycznym dużo doniosłych wypadków i społeczeństwo w obu krajach daje dowody wielkiego poczucia obowiązków obywatelskich.

Mówią, że każdy naród ma taki rząd, na jaki zasługuje!

W Anglii wybory w 1924 r. nie dały absolutnej większości żadnej z 3-ch ubiegających się o władzę partij: konserwatystów (na czele Baldwin), liberałów (Lloyd George), i Labour Party (Mac Donald).

Konserwatyści ustępują i ministerstwo formuje jako premier Mac Donald.

U nas w Polsce nie ma analogicznej partii politycznej; jest to coś w rodzaju bigosu z najsłabszych partij lewicowych z zaprawą czerwonego pieprzu komunistycznego.

Nowy rząd działalność swoją rozpoczyna od „uznania Sowietów” — kto wie, może i z obowiązku, bo złoto sowieckie hojnie wpływało do kas organizacji wyborczych tej partji.

Nie będę pisał o działalności tego rządu, który trwał 6 miesięcy. Ale wyniki były pouczające, bo ten „usus ad absurdum” spowodował to, że przy następnych wyborach „Labour Party” zostaje katastrofalnie pobita, jak również i liberali, a do władzy wracają konserwatyści z zabezpieczoną większością głosów w Parlamencie.

Coś podobnego miało miejsce i we Francji, gdzie wybory w 1924 roku, również dają większość partjom skrajnie lewicowym.

Nowe ministerstwo (Herriot'a) rozpoczyna swe rządy również od „uznania Sowietów”, wymagając jednocześnie przedterminowej dymisji Prezydenta Millerand'a...

Poincaré chwilowo znika z widowni politycznej.

Ale to trwa niedługo, bo zrównoważeni i wielkim poczuciem obowiązku obywatelskiego obdarzeni deputaci parlamentu, widzą rozpoczynającą się zaraz w większym stylu robotę „uznanych” sowietów.

Dla ich coraz liczniejszych „jaczek” staje się już za ciasno w obszernych lokalach byłej cesarskiej ambasady i konsulatów. Rozpętlają się więc po całym kraju i zaczynają próby strajków i rozruchów.

W bardzo krótkim jednak okresie czasu następuje porozumienie i konsolidacja partyj z platformami prawie wrogimi.

Patrjotyzm i poczucie obowiązku łączy ludzi z różnych obozów i premierem gabinetu jest znów Poincaré.

Objęcie steru nawy państwowej przez tego gorącego patryotę i doświadczonego męża stanu daje namacalne, konkretne wyniki, w najkrótszym czasie...

Na wiosennej sesji 1926 r. Niemcy mieli wejść do Ligi Narodów, otrzymując stałe miejsce w Radzie. Niespodzianie, odwleka się to do jesieni, z powodów natury formalnej, bo wedle ustawy wymaga się wyboru „jednogłosem”, a reprezentant Brazylii założył formalny protest (jesienią dochodzi to do skutku).

Rząd niemiecki, w celach zaszachowania Ententy, rozpoczyna pertraktacje z Sowietami, w celu zawiązania jeszcze silniejszych „węzłów przyjaźni”.

Francja i Hiszpanja zawierają konwencję wojskową w celach wspólnego zlikwidowania spraw w Maroku.

W Anglii w maju 1926 r. rozpoczął się w Londynie strajk powszechny; cały przebieg tego strajku może służyć jako dowód wysokiej kultury społeczeństwa angielskiego....

IV.

SPRAWY SPOŁECZNE.

W anormalnych i trudnych warunkach postępowała rozbudowa całokształtu państwowego w zmarłychwstałej Polsce.

Jestem pewien, że przyszli historycy, okres pierwszych lat niepodległościowych określą wyrazem „chaotyczny”.

Coprawda, Pismo Święte głosi, że i świat powstał — z chaosu.

Omijając nienawiść i prowokację niektórych naszych ościennych sąsiadów, sam fakt istnienia Państwa Polskiego był już dla nich czemś nie do pomyślenia.

Z jednej strony perfidyna prowokacja i stawianie nam pałek na każdym kroku nazewnątrz, z drugiej szalona propaganda wewnątrz kraju, na którą wydawano zawrotne sumy, w celu „skomunizowania” Polski, wreszcie niezrozumienie, czy zanik poczucia obywatelskiego u — niestety — dość dużej części samego społeczeństwa, wszystko to, nietylko utrudniało, ale wprost hamowało twórczą, ideową pracę ludzi, którzy

z zapałem i poświęceniem szli do pracy, bez względu na urząd i stanowisko socjalne.

Najdonioślejsze w swych skutkach były dwie choroby dzieciinne, które przejść musiało małoletnie nasze społeczeństwo.

Pierwszą z nich była: chęć przemalowania całej Polski na czerwono i to w jaknajszybszym przeciągu czasu. Narzucany wszędzie i wtłaczany literalnie daltonizm, wymagał ignorowania wszystkich odcieni poza „socjalistyczno - czerwonym”.

W znacznej części, zacni i dobrzy w gruncie Polacy, pod wpływem pewnego rodzaju hipnozy (a czasem i wyrachowania, — bo to się opłacało) z jednej strony, a umiejętnego pochlebstwa z drugiej, jako posłuszni barankowie, próbowali burzyć wiekowe tradycje i wtłaczać życie w formy i wzory wskazane bądź przez zakutych doktrynerów, bądź przez szczwanych lisów — kosmopolitycznych agitatorów...

Ten siew rzucany od początku, w tym właśnie okresie zaczyna wydawać coraz więcej gorzkich owoców...

Drugą poważną chorobą, trzeba spodziewać się również przemijającą dziecinną: było rozpanoszenie się biurokratyzmu. Od góry do dołu, wszędzie forma panuje nad treścią.

Wszyscy, komu się należy, a jeszcze więcej ci, którym się nie należy wcale, toną w bibule i piszą, piszą..

Samo przez się, to się z czasem ureguje i przyjdzie okres kiedy i u nas „treść” będzie górowała nad „formą”.

Nie powinienem może zbyt odkrywać ciemnych i słabych naszych stron, ale jako kronikarzowi nie

wolno przejść „do porządku dziennego” nad faktami niezgodnymi z logiką.

Żeby nie być gołosłownym, przytoczę parę wypadków i to tylko z tej dziedziny, o której już mówiłem, a mianowicie, o dziedzinach ekonomicznej i biurowatycznej. Innych, na razie, nie chcę poruszać wcale.

W porządku chronologicznym muszę zacząć od takiej „perły biurowatycznej”, która nosi datę 25 lutego 1919 r. Dokument ten, który miałem sposobność widzieć na własne oczy, jest następującej treści:

„Zarząd Stołecznego Miasta Warszawy”. „Sekcja M” (prawdopodobnie mieszkaniowa). „Do Pana J. Piłsudskiego”. „Wezwanie za N.”.... „Podaje się do wiadomości, że o ile w okresie 5 dni, nie będzie opłacony podatek w ilości 71 marek i 60 fenigów, z dodatkiem kary w ilości 72 fenigów, to na mocy takich, a takich artykułów należność zostanie wyegzekwowana”.

Dokument ten został przesłany do Belwederu, gdzie Komendant J. Piłsudski od dłuższego czasu zamieszkiwał i w pierwszej połowie lutego 1919 roku, został przez Sejm (jednogłośnie) powołany na Naczelnika Państwa....

W gazecie wileńskiej „Słowo” w kwietniu 1924 r. wydrukowano list jednego z najpoważniejszych obywateli ziemskich, w którym ten cyfrowo dowodzi, że wedle wymaganych stawek podatku dochodowego, w niektórych przedsiębiorstwach wypadnie opłacić podatek w wysokości — 860 procent od zarobku!..

W tymże roku Zakładom Starachowickim wyznaczono podatek dochodowy za rok 1925, w wysokości 350 procent od faktycznie otrzymanych zysków!...

Przyszedł do mnie student oglądać mieszkanie, by oszacować inwentarz, w celu wyznaczenia podatku „od zbytku”. Wręczył mi całą plikę kwestjonariuszy i miał przy sobie, coś na wzór papierowego prześcieradła, które z trudem dało się ułożyć na stole.

Patrząc na jego gorliwe i w gruncie pocziwe wysiłki, przyszło mi na myśl, czym nasza „młodzieńcza” biurokracja, ma być gorszą, od przysłowiowej — „chińskiej”.

Zakończę jeszcze jednym szczegółikiem. Biorę udział w licznych komisjach, w niektórych z nich jako przewodniczący. Kiedyś telefonuję p. sekretarzowi o terminie zebrania i porządku dziennym. Naza jutrz otrzymuję do podpisu wydrukowane zaproszenia dla każdego z poszczególnych członków, a między innymi figuruję i ja. Więc miałem zaprosić i — siebie samego!

W Sejmie, w urzędach, w komisjach, przy licznych „okolicznościowych” uroczystościach, jubileuszach, bankietach, zbyt wiele wodnistej frazeologii krasomówczej.

Jednego z najodpowiedzialniejszych wysokich dygnitarzy, po jego kilkakrotnych publicznych przemówieniach, proszono, żeby nadal z treścią swoich przemówień publicznych przed wygłoszeniem ich zaznajamiał odpowiedni urząd.

Na plenarnych posiedzeniach sejmowych lały się strumienie wody, zaprawionej octem i żółcią partyjnej nienawiści. Coprawda tego rodzaju przemówienia wygłaszano najczęściej przy pustych salach i to zmusiło Marszałka Sejmu do ustalenia kar

pieniężnych za nieobecność na posiedzeniach. Lecz i to nie zbyt pomogło, bo chociaż ilość pp. posłów stale „szambrujących” w poczekalniach ministrów i dyrektorów departamentów, może się i zmniejszyła, ale faktycznie w dalszym ciągu większość suwerenów spędzała czas, bądź w korytarzach sejmowych, bądź w ogrodzie sejmowym, zależnie od pory roku, i niezależnie od niej w bufecie.

Tylko na galowych posiedzeniach było liczniej i często nawet nastrój stawał się tak „uroczysty”, — że łamano pulpity, grano na trąbkach, śpiewano chóralnie. Dochodziło do bójek, policzkowań i wynoszenia na rękach straży sejmowej, niektórych z grona p. p. posłów, zbyt — podenerwowanych....

I tak, choć w zespole 444 posłów sejmowych i 111 senatorów było wielu ideowych patriotów, ludzi godnych, ludzi wielkiej pracy, wobec ogółu byli oni bezsilni i tonęli w mętach szarżyzny...

Miałem wrażenie, że wielu z nich, po nieudanych i daremnych próbach zmiany kierunku całokształtu pracy, zdecydowało się płynąć z ogólnym prądem partyjnym...

W lipcu 1925 roku przy głosowaniu w sprawie wyjątkowej doniosłości dla całego kraju, — w sprawie reformy rolnej głosuje tylko 302 posłów, a za niezwłocznem wprowadzeniem w czyn tej reformy (która w 1919 r. zasadniczo była zdecydowaną większością — jednego głosu, również przy licznych nieobecnościach posłów) za projektem rządowym głosuje 200 posłów, przeciw 90 i 12 wstrzymuje się od głosowania.

Ale znamienny jest skład „większości”. — Stawia ją: Piastowcy wspólnie z „obszarnikami” (właściciele ziemscy). Czyż to nie jest wzór do czego mogą dochodzić partyjne „krakowskie targi”?

Dziś myślę, że wiele z tych smutnych objawów dzięki Bogu, należy już do minionej przeszłości...

W tym chaotycznym okresie zaszedł i taki fakt. W biały dzień, na pociąg w ruchu, którym, w osobnym salonowym wagonie jedzie zespół dygnitarzy wojewódzkich, napadają bandyci, nawet w niewielkiej liczbie.

Władze i ich ochrona są odrazu tak steroryzowane, że bez żadnego oporu, dają nie tylko bezkarnie zrabować pociąg, ale nad niektórymi z przedstawicieli władz bandyci znęcają się fizycznie...

W jesieni 1924 r. w Krakowie odbywa się sąd w sprawie mordu ułanów w czasie rozruchów w listopadzie 1923 r. i ku wielkiemu zdumieniu ogółu — wszyscy bez wyjątku, zostają uniewinnieni.

Opinia publiczna była tem wstrząśnięta, a większość i oburzona.

Spółczesność było również zaskoczona niezrozumieniem dla większości ułaskawieniem dwóch oficerów komunistów (Bągiński i Wierzchowski) skazanych na śmierć, za cały szereg bardzo ciężkich dowiedzionych im przestępstw politycznych.

Zostają bez żadnej kary odstawieni do bolszewji, gdzie sądząc z prasy komunistycznej na spotkanie ich przygotowywano agitacyjne manifestacje. Co prawda nie doczekali tych owacyj, bo w chwili zbliżania się pociągu do granicy, zastrzelił ich obu w wa-

gonie jeden z byłych urzędników, oburzony wyrokiem.

W październiku 1924 r. zostały przywiezione do Warszawy prochy Henryka Sienkiewicza, który zmarł w Szwajcarji jesienią 1916 r., nie doczekawszy za życia powrotu do wolnej Ojczyzny.

Warszawa przywitała Go uroczyście i godnie.

Nie dlatego żeby mówić o Jego zasługach, — bo to równałoby się wyłamywaniu drzwi już otwartych, ale mając na myśli poniekąd usprawiedliwienie wyżej przytaczanych smutnych i anormalnych przejawów okresu „chaotycznego“, dla zrozumienia i wczucia się w całokształt naszych przeżyć, cytuję kilka ustępów z mowy P. Ignacego Paderewskiego. Wypowiedział ją w Ameryce w 1916 r. na wieść o zgonie Henryka Sienkiewicza.

„...„Po bohaterskiem a tragicznem powstaniu styczniowem, po nadspodziewanym a sromotnym przez Prusaków Francji pogromie — na wielkich łańcuchach zawiedzionych polskich nadziei zazieleniało od chwastów zwątpienia.

Lud nasz się mnożył, rozrastał, ogromniał, lecz duch się rozpraszał, słabnął, upadał. Szerzyła się niewiara, a z nią i martwota...

Złe się działo wszędzie, ale najgorzej pod zaborem moskiewskim. Tam znosiłiśmy nietylko niewolę i niedolę. Tam kazano nam znosić wszystkie cierpienia i bóle, wszystkie upokorzenia i poniżenia, jakie tyl-

ko znosić musi ustrój wyższy, ujarzmiony, podbity przez ustrój niższy. Tam rządziło bezprawie.

Ludzi uczciwych złożono z urzędów, pozbawiono chleba, wraz z rodzinami rzucono na bruk.

Zamknięto Szkołę Główną, zamknięto wszystkie polskie szkoły, — nahajką, bagnetem, armatą nawet, usiłowano nawracać lud nasz na prawosławną wiarę...

Truchleli ludzie. Najlękliwsi, zwłaszcza na kresach, nieśmiało jeno przyznawali się do polskości.

A gdy z jednej strony przez wrogie książki i podręczniki szkolne, plugawiące całą przeszłość naszą, sączyła się trucizna w młodociane dusze, — z drugiej zjawili się na widowni, nowej nauki rzecznicy... Poczuli oni prawić o braterstwie narodów, o solidarności ludzkiej, o sprawiedliwości społecznej, o dobrobycie, za cenę wyrzeczenia się ideałów narodowych przyrzekali uroczyście niebo na ziemi.

Żadna świeżości, żadna nowych haseł młodzież, uwierzyła fałszywym prądom i rzuciła się tłumnie, by pić z zatrutego źródła, pić łakomie, namiętnie... Wtedy właśnie, za wolą Boga, powstał, zajaśniał wielki duch Sienkiewicza...

On nie załamał rąk swoich rozpacznie, jeno olbrzymiego jął się dzieła.... W jego porywających utworach zagrzemiała pieśń królewska, ogromnie przedziwna, przepotężna, pieśń co podniosła z grobu umarłych, obudziła żywych, a uśpionych, pokrzepiła żywych, a osłabionych — uzdrowiła żywych, a zakazonych“...

Nie wiem jakie wrażenie zrobią te fragmenta na moich czytelników, ale dla mnie, który należę do po-

kolenia o którym mówi P. I. Paderewski jest to tak zrozumiałe, tak wyczute...

W ciężkich warunkach wypadło pracować naszemu pokoleniu, kiedy nawet rozpacz ogarniała i „Królów Duchów”, której daje wyraz poeta w słowach:

„I z dni tych wszystkich wybranej kolei
Wyrasta napis — tu niema nadziei!”

I dlatego, choć dla nas ten „chaotyczny” okres w Wolnej Polsce, jest również ciężki i smutny, ale nie beznadziejny...

Ja osobiście jestem przekonany, nie zważając na wszystkie objawy i fakty ujemne, że przez te kilka lat naszej niepodległości, dorobek społeczny jest już bardzo poważny i wciąż rośnie i powinien rosnąć coraz szybciej..

U nas w Polsce nawet i fachowi pesymiści nie mają tych beznadziejnych poglądów, z jakimi spotyka się w byłej Rosji. Tam, tak zwana „inteligencja” bardzo często wyśmiewała i mieszała z błotem wszystko co swoje, narodowe.

Tam nie krępowano się w wygłaszaniu takich zdań, że — „czem gorzej tem lepiej”.

Najstraszniejszą klątwą każdej niewoli jest zwątpienie we własne siły, wyrasta z niej „płynięcie z prądem” (rosyjskie „nie opieranie się złemu”), co jest już objawem marazmu duchowego...

Mojem zdaniem, dla naszego pokolenia sporo złego wynikało z grasującej w tych czasach wśród młodzie-

ży polskiej wyższych uczelni w zaborze rosyjskim, epidemji socjalistycznej.

Wielu z nich, pod wpływem otoczenia, jeżeli nie wynarodowili się, to uważali za pewnego rodzaju „dobry ton” — lekceważenie patryarchalnych tradycji narodowych.

Ale w każdym razie stali oni o całe niebo wyżej od poziomu tuzinkowej inteligentnej młodzieży rosyjskiej.

Opowiadał mi jeden z bardzo zapalonych naszych ówczesnych „socjałów”, jak bardzo był zrażony i oburzony, słuchając przemówienia jednego z bōżyszcz studenterji rosyjskiej, który wyjątkowo szczęśliwym trafem uniknął zamieszkania w kazamatach syberyjskich, kiedy w swojej mowie wyśmiewał wyrazy „narodowość” i „patryjotyzm”...

Jako wiceprezes i skarbnik Towarzystwa Dobroczynności w Petersburgu przez długi szereg lat, muszę stwierdzić o poważnej ideowej pracy naszej młodzieży na tle narodowem.

Prawie bez wyjątku każdy najbardziej zruszczony i wynarodowiony student, pod wpływem koleżeńskim polaków studentów, w krótkim czasie poczuwał się polakiem. Muszę do tego dodać i to, że najbiedniejszy ze studentów, otrzymywał możność — i to bez zadrażnienia miłości własnej — korzystania z zapomóg materialnych z kas studenckich polskich, które zabezpieczały możność egzystencji w czasie studiów...

Wracam do kroniki.

W Dzień Zaduszny w 1925 r. odbyła się uroczystość złożenia zwłok „Niezanego Żołnierza”.

O ile nie było różnicy poglądów, co do sposobu wyboru pola walki (a mianowicie przez losowanie), z którego miano wykopać zwłoki, o tyle opinia publiczna podzieliła się przy wyborze miejsca pod grób. Jak wiadomo definitywnie zwłoki zostały złożone za pomnikiem Ks. J. Poniatowskiego, przy wejściu do Ogrodu Saskiego.

Po nabożeństwie w katedrze zwłoki z wielką uroczystością odniesiono do mauzoleum.

Najuroczystszy momentem była dwuminutowa „chwila milczenia”.

W uroczystości oprócz wojska brały udział i szkoły.

Dzień był pogodny, ale zimnawy. Dzieci stały w szpalerach przez dobrych parę godzin, a patrząc na zziębnięte i posiniąte twarzyczki dzieciinne, pierwsze co przychodziło do głowy to myśl: oby nie poprzziębiały się.

Uważam, że w naszym klimacie, tak w wiosenne, jak również i w jesienne miesiące nie powinno się narażać dzieci na zaziębienie, zwłaszcza, że u nas zbyt często i zbyt wiele jest najrozmaitszych uroczystości i pochodów.

Przy tej sposobności chcę również zwrócić uwagę, na zbyt rozpowszechnione pieniężne publiczne kwesty.

Takiego publicznego narzucania się, z wymaganiem datków, na najróżniejsze cele — niema nigdzie.

W Warszawie zamożniejsi przyjezdni obcokrajowcy zatrzymują się przeważnie w jednym z dwóch

większych hoteli — Bristol i Europejski. Tam więc zbierają prawie co dnia i był czas kiedy kwestowano nietylko w hall'ach hotelowych, ale obchodzono nawet stoliki restauracyjne.

Obecnie to nietylko nie ustaje, ale się już nie „dnie”, ale „tygodnie” kwesty na najróżniejsze cele.

Wzrasta to tak, że jest obawa, że z czasem zamało będzie wszystkich 52 tygodni w roku...

W 1925 r. Warszawa z czcią i uznaniem podejmowała Panią Curie - Skłodowską. Byłem na Jej uroczystym przyjęciu i odczycie na uniwersytecie; zebrani przyjmowali Ją owacyjnie.

Jesienią 1925 r. w krótkich odstępach czasu umierają nasi najwybitniejsi literaci: Żeromski i Reymont. Imię ostatniego, z powodu otrzymania nagrody imienia Nobla, stało się znanem całemu światu kulturalnemu.

Nie brałem osobistego udziału w uroczystościach pogrzebowych, ale sądząc z opisów były bardzo podniosłe. W pismach, niezależnie od stronnictw, jakie reprezentowały, dysonansów nie było, a trzeba przyznać, że to się zdarza nieczęsto, bo prasa najczęściej daje oświecenie z punktu widzenia własnego podwórka.

Był okres w mojej działalności, kiedy z urzędu codziennie przedstawiano mi wycinki prasowe.

Miałem wrażenie, że patrzę w sferyczne lustro, gdzie wszystko odbija się nienaturalnie, a najczęściej karykaturalnie...

Od czasu zamieszkania w Warszawie, weszłem do paru klubów stołecznych. Bywałem tam dość często i z przyjemnością, bo spotyka się sporo inteligentnych i ciekawych ludzi.

Ale widocznie w stołecznej atmosferze jest coś niezdrowego, coś w rodzaju gazów trujących, bo w sądach o ludziach i wypadkach często brakuje zimnej krwi, rozważli i analizy, a za dużo jest przesady i zaciętrzewienia się na tle zakutej partyjności.

W końcu 1925 r. daje się wyczuwać coraz większe zdenerwowanie i niepokój.

Coraz częstsze są zajścia wprost brutalne w Sejmie; niesmaczne, a często i ordynarne przemówienia, polemiki, a nawet zdradzieckie napady na ulicach i w samym gmachu Sejmu na bezbronnych wrogów partyjnych....

Ale co do polemiki, to przypominam jeden nawet wprost zabawny epizod. Jeden z byłych ministrów uniesiony zapałem polemicznym, mało tego, że ogłasza w prasie swój meldunek służbowy (który nie powinien być wcale ogłaszany — i co byłemu ministrowi przedewszystkiem należało się wiedzieć), ale kończy ten urzędowy dokument frazesem — „Dixi et animam meam salvavi“!!

Czy to wszystko nie jest charakterystycznym objawem „chaotyczności“?...

Wielu ludzi jest przekonanych, że ten anormalny stan na dłuższą metę trwać nie może.

Mnie osobiście przedmajowe miesiące 1926 r. w Warszawie przypomniały to co miało miejsce w b. Rosji w początku 1917 r., kiedy naładowane elek-



trycznością powietrze stało się duszne nie do zniesienia.

Tak duszno było i w Warszawie w pierwszych dniach maja 1926 roku...

Przy obchodzie uroczystości 1 maja 1926 r., komuniści nabierają wiele tupetu i za wszelką cenę chcą urządzić demonstrację na ulicach Warszawy i połączyć się w pochody z delegacjami naszych partij socjalistycznych.

Tamci nie chcą dopuścić do tego.

Na tem tle znów dochodzi do strzelaniny bojówek obu partij, — są ofiary w zabitych i rannych. Ale jak w czasie największej burzy rekiny czatują na zdobycz tak i u nas swojskie rekiny, z ogromnem napięciem i intensywnością, żerują gdzie się da i co tylko się trafi.

Po dłuższych przetargach, 8 maja 1926 r. formuje się „nowy” — „koalicyjny” gabinet, „z nowym premierem” — pościem Witosem!!

Gabinet ten potrwał tylko do 15 maja...

O ile „koalicyjny” gabinet był niezbędnym w początku sierpnia 1920 r., o tyle następne próby utworzenia takowych nie miały podstaw. W gabinecie utworzonym w końcu listopada 1925 r., już po kilku tygodniach rozpoczęły się pertraktacje o rekonstrukcji i w liczbie nowych kandydatów wymieniają generała Sikorskiego, jako ministra wojny. Marszałek J. Piłsudski w początku lutego 1926 r. w czasie osobistej audjencji u Prezydenta, zakłada protest przeciw tej kandydaturze.

12 maja jestem obecny na posiedzeniu w jednym z ministerstw.

Posiedzenie trwa już od paru godzin.

Telefon do przewodniczącego.

Ktoś długo zatrzymuje go przy trąbce telefonicznej.

— Odpowiada ogólnikowo i wymijająco.

Po zakończeniu tej długiej rozmowy przewodniczący zwraca się do jednego z obecnych szefów i mówi, że „jeden z bardzo wpływowych członków Sejmu” usilnie nalega, żeby jeszcze dziś przed zamknięciem biura on zatwierdził umowę jakiejs firmy z rządem, na poważną sumę w wielu milionach złotych.

Była to godzina pierwsza po południu.

Po 2-giej wracałem do domu.

Było mi wyjątkowo smutno i czułem się jakby przygnębiony.

Mimowoli zwróciłem uwagę na dziwną — określiłbym złowrogą — ciszę na ulicach...

Po upływie kilku godzin, posłyszałem ten, tak strasznej pamięci, jeszcze z czasów bolszewickich, trajkot kulomiotów, a po jakimś czasie dobiegły i odgłosy strzałów armatnich!

Wrzód pękł!

Na ulicach Warszawy lała się krew!!...

V.

*Znać co cierpienia,
A nie znać co skarga
Oto jest życia symbolem.*

PRO DOMO SUA. EPILOG.

Na wstępie tego rozdziału uważam za wskazane
wyświetlić to, co spowodowało, że ja porwałem się
po laury literackie!

W swoim czasie drukowałem artykuły fachowe.
Wydałem dzieło „Nauka artylerji”, które w Rosji
miało cztery wydania, i zostało obecnie wydane
w Polsce (w streszczeniu, ale z uzupełnieniami no-
woczesnemi).

Od czasu do czasu umieszczano się w prasie małe
notatki okolicznościowe, ale o pracy literackiej
w szerszym zakresie do 1925 r. nie myślałem.

Przyszło to jednak i w następujących warunkach.

W końcu 1924 r. wychodzę na emeryturę.

Zaszło to z powodu omyłki przy mojej weryfikacji
w 1920 r., kiedy mnie wyjątkowo „odmłodzono” —
niestety tylko „służbowo”... Obszerniej o tem pisa-

łem już w drugiej części moich „Wspomnień” („W Wolnej Polsce”)...

Narazie, nie mając obowiązkowego warsztatu pracy, który właśnie u siebie w kraju, tak całego absorbował, pochłaniał, porywał — poczułem wielką próżnię...

Zdecydowałem przystąpić do pisania „Wspomnień”, uważając że takowe, wobec warunków, w których życie mi zeszło, mogą wzbudzić pewne zainteresowanie w społeczeństwie.

Niewiem jakie byłyby dalsze koleje tej pracy literackiej, gdyby nie ciężka choroba syna w początku 1925 r.

Wpływa ona tak, że ja, również jak i żona, która w pracach rzeźbiarskich szuka ukojenia trwogi, staram się także w tym nowym dla mnie rodzaju pracy znaleźć ucieczkę przed trawiącym mnie niepokojem...

Dziś właściwie, te tak jeszcze niedawne czasy, są dla nas obojga daleką, daleką przeszłością, a świeża mogiła naszego Jedynaka stoi nam przed oczyma!...

Ale póki jeszcze żyję, póki do ostatka będę miał siły, chcę nadal pracować, nie poczuwając się wcale, do — „dymisji życiowej”....

Więc i obecną pracę uważam za jeden ze swoich obowiązków społecznych.

Chcę dać w niej wzór obywatela - żołnierza, którego życiorys uważam za wyjątkowo treściwy i pouczający.

Bohater zginie w walce na posterunku, a będzie to nie tylko ta walka życiowa, osobista, którą każdy człowiek dążący do czegoś prowadzić musi, lecz

przedewszystkiem bój „o lepsze jutro” dla bliźnich, społeczeństwa i Ojczyzny.

Już zaznaczyłem na wstępie, że poświęcając tę pracę młodzieży polskiej ufam, że znajdę oddźwięk w szlachetnych sercach młodzieńczych i wzbudzę ochotę do pójścia podobnemi śladami w zakresie pracy społecznej...

Muszę dać jego portret duchowy.

Czuję, że to zadanie jest dla mnie osobiście trudne, chociażby dla tego jednego, że trudno wymagać od ojca, by nie idealizował swojego dziecka.....

Chcąc tego uniknąć, za pędzel i farby będą mi służyły nie uczucia osobiste, lecz dosłowne fragmenta z niektórych artykułów drukowanych o nim w prasie, lub z listów nam nadesłanych.

Pozatem uważam za potrzebne przytoczyć faktyczny i prawdziwy krótki przebieg jego życia, osnuty na ścisłych faktach i fragmentach z jego osobistych dzienników i listów.

Ale i ten obfity materiał, z mego punktu widzenia, nie może dać należnego całokształtu, o ile przedewszystkiem nie będzie zupełnie wiernego tła.

Spróbuję dać je w kilku rysach.

Tem „tłem” będą przewijające się przez całe Jego życie czerwoną nicią następujące cechy: zawsze był głęboko wierzący, szlachetny i wyjątkowo dobry i uczynny.

Mógłbym na poparcie wyżej napisanego przytoczyć wielką ilość dowodów, ograniczam się do kilku...

Ostatnie Jego słowa przy konaniu były: „Wyroki Boskie niezbadane“. Słyszałem je, bo w tej tak strasznej dla nas chwili, byłem tuż obok niego!...

Po Jego zgonie pielęgniarka wręczyła mi zdjęty z jego piersi krzyżyk, który otrzymał przy chrzcie; z tym krzyżykiem i paru medalikami zawieszonymi na łańcuszku nie rozstawał się nigdy...

Od najmłodszych lat we wszystkich Jego postępkach — górowała wprost rycerska szlachetność.

W szkołach był wyjątkowo lubiany przez kolegów; w życiu miał zawsze odwagę nie ukrywać swoich przekonań.

Wszędzie i zawsze na wszystkich stanowiskach w b. Rosji przedewszystkiem podkreślał swoją polskość.

Co do Jego dobroci i uczynności to stały się one przysłowiowe.

W najtrudniejszych nawet dla niego samego chwilach, nikt nie odszedł od Niego bez pomocy...

Umarł 6 sierpnia, a na 1-go miał na rękę, jak na nasz budżet dość znaczną sumę. Sumy tej według naszego mniemania, powinno było zupełnie wystarczyć nietylko na opłacenie parotygodniowych rachunków, ale i na wygodny przyjazd do Warszawy, nawet z pielęgniarką...

Po Jego śmierci pozostało przy nim zaledwie paręset franków.

Okazało się, że tak dużo rozdawał zapomóg pieńiężnych tym, którzy się do niego zwracali, że w końcu miesiąca „normalnie“ już mu zupełnie bra-

kowało zwykle gotówki i musiał brać zaliczki w administracji pensjonatu...

Kiedy odjeżdżałem z Nicei (po Jego śmierci), przed odejściem pociągu zebrała się grupa przyjaciół; wśród nich znalazła się jedna starsza pani, którą poznałem przy eksportacji zwłok syna do kaplicy.

Podeszła do mnie i opowiedziała co następuje: — W początku 1926 roku, będąc w Nicei, syn, nieznając Jej przedtem, przypadkowo dowiedział się o Jej bardzo ciężkich warunkach materialnych. — Miała przed wojną na Podolu duży majątek, wszystko straciła i ktoś z Jej byłych przyjaciół, dał jej pokoić w suterenie w swojej willi.

Ale od chwili jak się syn o tem dowiedział, do ostatniej chwili przysyłał jej miesięczny zapas — kawy, herbaty, cukru etc.

Niezależnie od tego czy Ala był w Nicei, czy nie, otrzymywała to zawsze i mało tego: na Boże Narodzenie i na Wielkanoc, dostawała jeszcze bądź małe święcone, bądź coś na wilję, chociaż Ala był wtedy w Egipcie.....

O Jego „uczynności” dałoby się dużo, dużo powiedzieć. Dla niego (jak również i dla Jego Matki) nie istniały żadne przeszkody, żaden czas nieodpowiedni, — zdarzało mu się nieraz wyjeżdżać z domu i nocą, o ile wymagała tego pomoc niesiona bliźniemu...

Przytoczę autentyczny fakt, o którym dowiedziałem się zupełnie przypadkowo.

W wilję ostatniego odjazdu Ali z Warszawy do Nicei (jesienią 1927 r.), a następnie do Egiptu, zaproponowałem zdjęcie wspólnej naszej grupy. Czasu

było mało, więc zaprosiłem fotografa do mieszkania. Widzę, że fotograf bardzo uważnie wpatruje się w syna i nakoniec pyta go:

„Czy nie był Pan 9 lat temu angielskim oficerem“?

Syn to potwierdza.

„Czy przypomina Pan sobie, kiedy jako angielski oficer ratował Pan 8 polaków, żołnierzy rosyjskich? Było to w Baku, wyrwawszy ich od bolszewików, ulokował ich Pan na statku angielskim, który odchodził do Konstantynopola“.

„Przypominam sobie“.

„Jestem jeden z tych ośmiu“...

Muszę dodać, że za te fotografie (jak mogą sądzić czytelnicy z załącznika — bardzo dodatnie) fotograf P. P. żadnej zapłaty nie wziął — prosząc syna, by przyjął to jako wdzięczną pamiątkę....

Jeszcze jedno ostatnie posunięcie pędzla dla uwypuklenia tła!

Któż z nas dużo podróżując nie zaznał tego odrębnego trybu życia bądź hotelowego, bądź w pensjonatach.

Ja osobiście podróżowałem przez okres z górą czterdziestoletni, ale nigdy nie zdarzało mi się brać udziału w zbiorowych grupach, a tembardziej odbierać takowe. U syna znalazłem dużą fotografię, gdzie on jest w centrum grupy składającej się z 30 osób. Fotografia ta opatrzona jest podpisami osób mieszkających w pensjonacie z następującą dedykacją: „Naszemu drogiemu i czarującemu („cher charmeur“) p. Aleksandrowi Jacynie, jako odwieczną pamiątkę jego pobytu w pensjonacie“.

Na tem kończę moje ojcowskie i indywidualne próby szkicowania tła portretu Syna.

Do dalszej pracy pędzlem i farbą będą nie uczucia ojcowskie, lecz dosłowne fragmenta z niektórych artykułów drukowanych o nim w prasie, w listach nam nadesłanych i z jego własnych dzienników, te ostatnie dla wyświeatlenia niektórych epizodów jego życiorysu, którym uzupełniam Jego duchową podobiznę...

Przytaczam, w streszczeniach, szereg dosłownych fragmentów:

1. Zmarły w Nicei ś. p. Aleksander Jacyna był typem człowieka czynu; jego krótkie, przedwcześnie przerwane życie — to pasmo wysiłków, podejmowanych zawsze z najszlachetniejszą myślą zdobywania coraz to nowych wartości, któremi mógłby jaknajlepiej służyć swojemu krajowi i państwu...

.

W czasie wojny wszechświatowej jako wysoko ceniony przez swe władze, jako wybitna siła organizacyjna, wysłany zostaje do Londynu dla rozwijania współpracy angielsko - rosyjskiej.

Po przewrocie bolszewickim wstępuje do armji angielskiej w Mezopotamji, a z chwilą utworzenia armji Hallera staje jako jeden z pierwszych w jej szeregach.

Po ukończeniu wojny wysłany jest do poselstwa naszego w Waszyngtonie. Na wieść o najeździe bolszewickim wraca do kraju i chlubnie odznacza się na froncie, otrzymując „Krzyż Walecznych”.

Zkolei wysłał Państwo znów ś. p. Aleksandra Jacynę na jeden z odpowiedzialniejszych posterunków: do komisji plebiscytowej na Śląsku, gdzie wybitnie się wyróżnia, zdobywając sobie nowe odznaczenie krzyżem walecznych.

W 1922 r. pracuje w centrali Min. Spr. Zagranicznych, a potem w przemyśle leśnym. Podczas tej pracy nabawia się ropnego zapalenia płuc.

Wyjeżdża na kurację do Egiptu, gdzie mimo choroby, poświęca się studjom nad gospodarczą sytuacją kraju, aby po powrocie założyć izbę handlową, polsko - egipską w Warszawie i odpowiednią w Kairze.

Niestety stargany ciężkimi przeżyciami wojny, w której ś. p. Jacyna nigdy siebie, ni zdrowia swego nie oszczędzał, organizm nie mógł zwalczyć trwającej go choroby...

Zmarł w Nicei pozostawiając po sobie nieskalaną pamięć czystego człowieka i gorąco kochającego Ojczyznę polaka, który był zawsze pierwszy, a nigdy niestrudzony w służbie dla Polski, poświęcając Jej swoją krew na polach walki i swój ciężki znój w warsztacie pokojowej pracy.

(Kurjer Warszawski).

2. W Nicei zmarł po długich i bardzo ciężkich cierpieniach, ś. p. Aleksander Jacyna, porucznik rezerwy wojsk polskich, oficer królewskiej artylerji angielskiej, prawnik, były attaché przy naszym poselstwie w Waszyngtonie, inicjator i organizator izby handlowej polsko - egipskiej.

Ten duży wykaz działania mieści się w granicach krótkiego życia — trzydziestuparu lat, ale życia, które do końca, po ostatni niemal dzień niezmordowanie tętniło energją i żądzą czynu.

Ś. p. Aleksander Jacyna mógł być brany jako wzór tej właśnie nieugiętej energii i tężyzny.

Chciał żyć, by działać.

Do ostatka pilnie wsluchiwał się w głosy z Polski, zawsze czujny, zawsze odważny w przekonaniach, rycerski, niezdolny do kompromisu....

.....

W szkołach ostro akcentował swoją polskość, a taka właśnie postawa zjednała mu szacunek i sympatię, zarówno ze strony kolegów, jak i przełożonych...

.....

Wybuch rewolucji zastał go w Anglii na stanowisku członka misji wojskowej. Mając odcięty odwrót do Rosji, gdzie wówczas powstawały formacje wojskowe polskie, ś. p. Aleksander Jacyna wstępuje do artylerji angielskiej.

Po powrocie do kraju wyjeżdża znów za ocean do naszego poselstwa do Waszyngtonu...

Bierze następnie czynny udział w naszej wojnie z Rosją Sowiecką.

Podczas wyborów do Sejmu kandydował z Białegostoku.

Z przekonania monarchista i narodowiec brał żywy udział w życiu społecznem kraju.

Dużoby zrobić dla Polski — gdyby nie przedwczesna śmierć.

W kołach licznych przyjaciół pozostawił jaknajlepszą pamięć.

Niech odpoczywa w Bogu.

(Gazeta Warszawska).

Ś. p. Aleksander Jacyna należał do rzędu jednostek niepospolitej woli i hartu ducha.

Starannie wychowany, otrzymawszy wyższe wykształcenie, miał możność zużytkować swoją wiedzę i talent na różnych stanowiskach.

Nietylko bowiem jako oficer zdobywa sobie uznanie i odznaczenia (Krzyże Walecznych i Krzyż Śląski) armii polskiej i angielskiej, ale i swój talent dyplomatyczny rozwija na placówce w Waszyngtonie, a następnie jako założyciel Izby Handlowej Polsko - Egipskiej.

(Polska Zbrojna).

4. Dzielny i prawy człowiek ś. p. Aleksander Jacyna spoczął dziś na Powązkach.

Dzielny żołnierz, prawy Polak, niestrudzony organizator, ś. p. Jacyna zarówno w czasie wojny 1920 r. jak i wszędzie gdzie był zatrudniony wykazał niepowszednią dzielność, zalety charakteru i energię.

(Kurier Czerwony).

5. Jakie to bolesne jest pożegnanie młodego męża, przeciętego ciężką i długotrwałą chorobą płucną...

Dusza to była szlachetna i dobra, — tembardziej żal, serdeczny żal, gdy takie kwiaty giną wśród rozlewającego się błota chamstwa.

Wychowany bardzo starannie, zmarły, jak się zdawało, miał najpiękniejsze nadzieje wybitnej pracy w politycznej służbie Ojczyzny, ze względu na powagę myśli, przywilej charakteru i urodę życia.

.....

Był on jednym z inicjatorów głównych przy zawiązywaniu akcji monarchicznej w Polsce. Monarchistą był nie przez doktrynę, ale przez młodzieńcze poczucie dobra, sprawiedliwości i piękna. Wychowany w środowisku miejskiem Petersburga tem goręcej rwał się do polskości czystej, którą wyobrażał sobie wzniosłą i bezkompromisową. Twarde jest nasze otoczenie dla roślin delikatnych...

...Umarł. Bóg tak chciał. Święta jest Jego wola.

Pamięć o poruczniku Jacynie wśród nas nie zwiędnie, — nabierze wyrazu w miarę, jak przyszłe wypadki stwierdzać będą słusność naszych poglądów i zamierzeń. Dla ludzi starych postać szlachetna młodzieńca pozostaje pełna uroku i nadziei, a dla młodych jest to więź koleżeństwa pełnego godności...

(Pro Patria).

Z otrzymanej po śmierci Syna bardzo wielkiej ilości depesz i listów przytoczę ledwo kilka fragmentów (znów dosłownych), charakteryzujących Jego szlachetną duszę, miłość dla Ojczyzny, dla swoich bliskich i dla ludzi.

Zacznę od depeszy, którą w Imieniu Ojca Świętego Papieża Piusa XI przysłał Kardynał Gaspari, na ręce nuncjusza arcybiskupa Marmagiego w Warszawie.

6. „Ojciec Święty, który zachowuje dobrą pamięć o Jego Ekscelencji Generale Jacynie przesyła mu swoje szczere współczucie i załącza Generałowi i Jego zasmuconej rodzinie swoje apostołskie błogosławieństwo, modląc się za duszę wybraną zmarłego.

Kardynał Gaspari.

Ministerstwo Spraw Wojskowych, w liście przyślanym przez pierwszego wiceministra daje mu taką charakterystykę:

7. ... „Ten przedwczesny zgon młodego obywatela, miłującego swój kraj, dzielnego oficera i utalentowanego dyplomaty porusza dotkliwie korpus oficerski Wojsk Polskich do którego Syn Pana Generała należał”.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych, w liście Dyrektora Politycznego Departamentu, tak pisze o nim:

8. „.....Miałem sposobność bliżej poznać ś. p. Syna Państwa i w pełni ocenić niezwykle Jego zalety, jedynające Mu tyle szczerej życzliwości i uznania u wszystkich, którzy się z Nim kiedykolwiek zetknęli, zarówno w życiu politycznym, jak i prywatnym”.

Na zakończenie tych urzędowych charakterystyk przytoczę krótki urywek z obszernego listu jednego z wyższych dygnitarzy w Assuanie.

9. „Śmierć Waszego Syna nie jest ciosem tylko dla Was rodziców, krewnych i przyjaciół, ale i dla Polski i dla Egiptu.

.....

Jak żał, że Mu nie było sądzone oglądać wyniki Jego pracy w dziedzinie poznania Polski w Egipcie“.

Poza temi, poniekąd urzędowymi charakterystykami przytoczę jeszcze kilka fragmentów z listów prywatnych.

10. Autor polak, którego ojciec służył na dalekich kresach — w Charbinie. Chłopiec mając lat 16 zostaje wysłany do szkoły marynarki w Petersburgu, odwiedza nasz dom.

.....

„Zbliżyłem się z Alą. Pokochałem go jako brata. Z Nim dzieliłem się myślami w chwilach radosnych i smutnych i nikt tak serdecznie nie żegnał mnie, kiedy wyruszałem na wojnę....

Często, pamiętam, Ala opowiadał mi o Polsce!...

Są to wspomnienia, prawie dziecinne, ale dlatego też w tej smutnej chwili, sprawiają mi tem większy ból...

Ostatnimi czasy spotykaliśmy się rzadziej, ale spotkania nasze były zawsze — morzem wspomnień z przed 15. lat...
.....

11. Wydaje się to tak niedawne, jak my wszyscy zebraliśmy się na chrzciny Ali i brat mój Cyryl trzy-

ma Go do chrztu (Wielki Książę Cyryl, starszy syn stryja Cesarza Mikołaja II, Wielkiego Księcia Włodzimierza).

.....

Jak my wszyscy potem interesowaliśmy się nim i jego postępami w naukach....

Po wielu latach spotykamy się znów zagranicą i pokochaliśmy Go całym sercem. On miał taki urok, że nie kochać Go było nie sposób...

Głęboko wierzę, że Jego nieskalana dusza jest bliską Panu Bogu i modli się za Was...

.....

12. ...Rodzina nasza straciła najlepszego przyjaciela. Przyjaciela z dziecinnych lat, przyjaciela później w złej i dobrej doli. Proszę mi wierzyć, że ze śmiercią Ali, odszedł od nas ktoś tak bliski, jak tylko brat rodzony nim być może.

13. Ś. p. Ala był tak dobrym i serdecznym przyjacielem dla wszystkich ludzi, nawet dla mało mu znanych, iż zgon Jego odczuliśmy wszyscy bardzo boleśnie, ale wierzymy wszyscy niezłomnie, iż za Jego szlachetne i tak dobre serce, jakie wszystkim okazywał, będzie stokrotnie wynagrodzony przez Boga...

14. ...Rozstanie doczesne z Nim odczułem niezmiernie głęboko.

Ze strony Pana Ali doznałem dużo serca — niezapomniane będą dla mnie te liczne godziny, które spędzaliśmy razem na rozmowach i rozprawach.

Podziwiałem prawość charakteru, jasność myśli i ten zar przekonania, tak właściwy Panu Ali, zar którym umiał rozpłomienić serca i umysły otoczenia...

15. „W życiu każda godzina rani, ostatnia nas zabija.

Ale to nieprawda Ala...

Ty musisz wiedzieć że pamięć o Tobie nie umrze nigdy wśród tych którzy Cię znali, kochali i szanowali.

.

Spij spokojnie na wieki, Ala, pod skrzydłem Twego Anioła Stróża, na tej naszej ziemi polskiej, którą tak umiłowałeś...

Kończę fragmentem listu z Nicei od jednej z pielęgniarek Ali.

16. Światła gwiazda Jego nie odeszła od nas, a tylko wzniosła się wyżej, tonąc w firmamencie nieba, ale promienie Jej sięgają tych, kto choć raz w życiu miał szczęście Go poznać...

Wyraźnie dźwięczą jego słowa, ujmującej miłości dla rodziców...

Pamiętam wieczory, kiedy następowało w pensjonacie uciszenie. — Lokatorzy po upalnym dniu szli nad brzeg morza. Ja zapalałem małą lampeczkę, odmykałem okna od ogrodu.

Ala leżał spokojnie, odpoczywając po męczącym całodziennym upale — w te chwile on bywał z Wami... Najmilszym jego tematem była rozmowa o swoich...

On szczyił się tem, że Jego ojciec nigdy, w najtrudniejszych chwilach życiowych, nie szedł na kompromisy. Jak błyszczały oczy Jego, kiedy powtarzał słowa ojca, że nie może istnieć prawdziwe szczęście, zbudowane na ludzkich łzach...

On nadawał wielkie znaczenie temu, że rzeźbiarski talent Matki przejawiał się w okresie Jego choroby.

Troska Matki o wszystkich ludzi w biedzie, była Jego chlubą — „żeby Pani wiedziała jak dużo dobrego w swoim życiu zrobiła moja Matka!”

...Pan Bóg zesłał mu świetlaną duszę, wielki talent i moc, które zdążyło ocenić wielu ludzi...

Przechodzę do Jego biografii.

Urodził się w Petersburgu. Kurs pierwszych klas gimnazjalnych Ala studjuje w domu i tylko składa egzamina, ale po ukończeniu 14 lat wstępuje do klas gimnazjalnych Cesarskiego Liceum, a następnie Uniwersyteckie kursa kończy w Cesarskiej Szkole Prawa; obie te szkoły miały internaty, do których wstęp był otwarty tylko dla rodowej szlachty i dzieci wyższych urzędników.

Wychodząc z założenia, że żadna ze szkół ówczesnych rosyjskich nie stała na wysokości zadań wychowawczych, zdecydowaliśmy z żoną, że po ukończeniu tych zakładów syn uzupełni wykształcenie uniwersyteckie w Anglii.

Dla ułatwienia tych przyszłych studjów Ala, po ukończeniu 16 lat zaczyna spędzać letnie wakacje w Anglii.

Wysyłamy go co roku na 2 — 3 wakacyjne miesiące do pensjonatu, gdzie kursa naukowe w tych miesiącach są minimalne, a większą część dnia poświęca się sportowi.

Pensjonat ten znajdował się na brzegu morza, w zacisznem ustroniu, gdzie bardzo mało kto rozumiał jakikolwiek obcy język, nie wyłączając i francuskiego.

Nie można było czytać bez pewnego zadowolenia listów syna, pełnych zachwytów i wykrzykników o zwycięstwach ich szkoły na popisowych konkursach cricket'owych, football'owych, czy tenisowych...

Piórem też tak dobrze władał, że jeden z jego utworów literackich (który jak wypadało na autora, ucznia starszych klas gimnazjalnych nosił tytuł „Pierwsza miłość”) został nawet wydrukowany, — muszę się przyznać nietylko ku jego radości, ale i naszej rodzicielskiej — w almanachu wydawanym w Liceum.

W tym zakładzie ongiś wychowywał się sławny poeta rosyjski Puszkina i szkoła ta przechowuje tradycje literackie.

Samodzielne jego podróże do Anglii układaliśmy z pewnym planem. W pierwszym roku pojechał na statku, który odchodził z Petersburga i szedł przez Kanał Kiloński wprost do Londynu. W następnych latach podróże te były urozmaicane.

Przypominam sobie, że jednego roku wyjechał on z Petersburga autem do Warszawy, co wtedy było jeszcze wypadkiem niecodziennym.

Marszruty morzem i koleją zmienialiśmy również często. W 1914 r. syn mój będąc już na kursach uniwersyteckich, miał w sierpniu, przed powrotem do Petersburga, pojechać do Szkocji i odwiedzić Cambridge i Oxford. Zamierzał jechać z powrotem z Newcastle na wojskowym rosyjskim statku, który szedł wprost do Kronsztadtu, ale z powodu wybuchu wojny wszechświatowej wypadło mu wracać nie zwlekając przez Danję i Szwecję.

W Torneo szczęśliwym trafem dostaje się on do pociągu, którym wracała matka cesarza Mikołaja II.

Po powrocie do Petersburga oświadczył mi, że chce wstąpić do wojska. Na to żartobliwie odpowiedziałem mu, że chyba rozpocznie wojnę — ze mną... Bo choć rozumiem jego zapał i chęć wzięcia udziału w wojnie, gdzie będą ważyć się losy naszego Narodu, przedewszystkiem musi zdobyć — patent wyższej szkoły. Ale jednocześnie proponowałem mu połączenie obu tych prac, naukowej i społecznej w ten sposób, że cały wolny czas będzie pracował przy wojsku, narazie jako sanitariusz przy pociągach dla rannych.

W kilka dni po powrocie już odjeżdża i pracuje na austriackim froncie przy pociągu sanitarnym. Wraca do szkoły w drugiej połowie września. Do początku grudnia załatwia się z repetycjami i przez kilka tygodni pracuje w czołówce na Bzurze, gdzie nawet pod ogniem szrapnelowym wynosił rannych.

Za swoją pracę zostaje udekorowany medalem (na wstążce Świętego Jerzego).

Wiosną składa egzamina w szkole i znów około 4 letnich miesięcy spędza na froncie, jako zastępca dowódcy transportu sanitarnego.

Będąc tam wysyła korespondencję do angielskiej gazety Daily Mail.

Co do jego wojskowości to byliśmy z początku spokojni, bo „jedynaków” do wojska nie brano. Ale w końcu 1915 r. ulga ta została anulowana, więc zgodziliśmy się chętnie na to, żeby po ukończeniu szkoły prawa, kiedy już dostał patent i był nawet mianowany urzędnikiem do Senatu, wstąpił z kursem swej szkoły na 8-miesięczne kursa oficerskie, do korpusu Paziów, marząc jak i wielu innych, że przez ten czas wojna się skończy...

Na tych kursach Ala miał bardzo ciężką pracę, bo namówiłem go do wstąpienia na wydział artyleryjski, gdzie dużo wymagano z zakresu nauk matematycznych, do których on zamiłowania nie miał wcale.

Skończył pomyślnie i 1-go października awansował na oficera artylerji gwardji.

W szkole paziów kolegowala z nim spora paczka polaków; stosunki koleżeńskie były tam doskonałe.

Był z nim na jednym kursie głośny obecnie — jako zabójca Rasputina — książę Jusupow, ożeniony z córką siostry cesarza Mikołaja II. Mój syn był z nim w przyjaznych stosunkach nietylko wtedy, ale i w latach następnych.

Wkrótce syn jedzie na front do służby w szeregach armji czynnej.

Od tej chwili, dla nas z żoną rozpoczyna się okres trwogi i stałego niepokoju...

Pobyt jego na froncie trwa tylko kilka miesięcy, bo udaje mi się dostać dla niego misję do Anglii w wojskowej komisji zakupów w Londynie, na stanowisko zastępcy doradcy prawnego.

Stało się to tak. Naczelnikiem Głównego Zarządu Artylerji, a następnie ministrem wojny, był mój kolega z akademji artyleryjskiej (generał Manikowski). Przypadkowo spotykam się z nim na eksportacji ciała znanego i powszechnie szanowanego pośła do Dumy ś. p. Władysława Żukowskiego, naszego wspólnego przyjaciela. Wiedząc, że generał formuje wojskowy komitet zakupów, mówię mu, że prawdopodobnie ma duże trudności z doбором odpowiedniego personelu. Przyznaje mi rzeczywiście, że jest rzeczywiście w wielkim kłopotcie.

Odpowiedziałem mu na to, że mnie to nie dziwi, bo choć jest dużo fachowców w zakresie artylerji, większość z nich nie posiada żadnego języka, poza rosyjskim. Tu mu przypomniałem znane opowiadanie o „lingwiście” rosyjskim, który tytuł dzieła V. Hugo „Notre Dame de Paris” przetłumaczył (dosłownie) „Nasze panie z Paryża”.

Nietrudno byłoby coprawda, mówię mu dalej, znaleźć takich, którzy znają język angielski, ale zato, tacy patrzą na armatę lub kulomiot, jak wół na nowe wrota. Lecz pocieszam go tem, że znam takiego oficera, który potrafi napisać po angielsku bez wielkich błędów ortograficznych choćby i bilecik miłosny, jest oficerem artylerji i ma skończony wydział prawny uniwersytetu....

„To jakiś biały kruk — dawaj mi go“.

„Owszem, to nawet mój krewny, — mój syn“....

Złożyło się tak szczęśliwie, że syn mój zdążył przyjechać do Petersburga w połowie lutego 1917 r., a 21 lutego już wyjeżdża z Petersburga ostatnim syberyjskim ekspresem...

Dalej przytoczę niektóre daty i miejscowości wzięte z dziennika mojego syna.

21-go. Noc. Odjazd.... Wielki smutek mnie ogarnął, kiedy leżąc w łóżku sleepingu pomyślałem, jak na długo wyjeżdżam z domu.

3 Marca. — Przyjeżdżamy do Władywostoku i tam dowiadujemy się o rewolucji w Petersburgu. Zdążyłem tegoż dnia szczęśliwie odjechać na statku japońskim do Curugi.

6 Marca. — Jestem w Tokio.

W Japonji syn spędza dwa tygodnie.

20 Marca siada na statek w Jokohamie; statek siedł dość powolnie zatrzymując się na Honolulu, gdzie spędza dzień Wielkanocny i skąd syn wysłał nam depeszę.

13 Kwietnia jest w San-Francisco i pozostaje tam 3 dni. Następnie zatrzymuje się na Niagarze, a 22 kwietnia przyjeżdża do Nowego Jorku, gdzie zostaje zatrzymany przy rosyjskiej misji wojskowej i dopiero 4 czerwca wyjeżdża do Anglii (na statku „Adriatic“).

W czasie pobytu w Nowym Jorku odwiedza dom pp. Paderewskich.

Podróż morzem trwa 9 dni i po przyjeździe do Londynu, niezwłocznie obejmuje swoją służbową placówkę zastępcy doradcy prawnego.

Praca trwa bez przerwy do stycznia 1918 r.

W Londynie przyjmują go w wielu domach z lepszego towarzystwa angielskiego, poznaje kilku wybitnych polaków i zostaje przyjęty do Klubu Polskiego, dzięki czemu bierze udział w polskich zebraniach politycznych.

W październiku przyjeżdża do Petersburga jego szef (Generał Germonius) i bardzo dodatnio wyraża się w Ministerstwie o pracy mojego syna.

W październiku wakuje stanowisko delegata Ministerstwa marynarki w tejże komisji, na miejsce ustępującego (generała P.).

Od czerwca pracowałem w Naczelu, gdzie byłem wiceprezesem, przewodniczącym komisji wojskowej i skarbnikiem.

Gdybym nie uważał za obowiązek społeczny pozosawać na tem stanowisku, z wielką łatwością, objąłbym stanowisko delegata marynarki w Londynie, gdyż z ówczesnym ministrem marynarki, kapitanem 1-ej rangi Wierdieriewskim łączyły mnie przyjazne służbowe stosunki.

Bylibyśmy wszyscy razem! (Pozatem ratowałbym znaczną część swego mienia)...

Z listów syna, nie przeczuwaliśmy, że nas czeka wkrótce bardzo przykra niespodzianka, a mianowicie: po przewrocie bolszewickim, syn decyduje się rzucić mundur rosyjski, a nie mogąc trafić do polskich formacji, w końcu grudnia 1917 r. zgłasza się

do angielskiego ministerstwa wojny i zostaje przyjęty jako oficer, ale z tym warunkiem, że natychmiast musi odjechać do Mezopotamji, w składzie ekspedycji o specjalnem przeznaczeniu („Dansterforce”).

29 stycznia syn porzuca Londyn.

W wilgę odjazdu przyjaciele wyprawiają mu pożegnalną kolację, a kiedy wraca do domu, zastaje u siebie w pokoju wielki nieład. — Dom który zamieszkiwał trafiła bomba rzucona z niemieckiego aeroplanu.

Ekspedycja została wysłana na dwóch statkach i już na drugi dzień na pełnem morzu jeden statek (który szedł z tyłu) zostaje zatopiony przez łodzie niemieckie.

Marszruta ich była następująca: Southampton — Cherbourg; następnie kolejną: Ljon, Marsylja, Riviera, Castelamare, Brindisi; dalej znów morzem do Aleksandrii, potem przez Suez, Morzem Czerwonym, Oceanem Indyjskim, Morzem Arabskim, zatoką Perską do Koweit; stąd zaś statkiem do Bazra i rzeką Tygrys do Bagdadu.

O tej podróży notuje w dzienniku, pod datą 18 marca:

„W dniu moich urodzin jestem w Szat - El - Arab — przejechaliśmy miejsce, gdzie wedle starego testamentu, był — raj. Obecnie jest tam stacja telegrafu bez drutu!

Rok temu w tym dniu byłem na Żółtem morzu. Drugi rok z rzędu jestem w tym dniu daleko od rodziców i domu”.

Około 28 marca ekspedycja jest już w Bagdadzie.

Następuje bardzo uciążliwy i niebezpieczny dzieńsięcodniowy przemarsz piechotą do Karwina, który rozpoczynał się nad rankiem przy przenikającym chłódzie, podczas gdy koło południa był już tropikalny upał.

Poprzednia ekspedycja, w czasie podobnego przemarszu, została wyróżniona przez Kurdów.

Pod datą 21 kwietnia zapisano w dzienniku: „Samid - Kiriad.

Spotkaliśmy Wielkanoc na 2.000 metrach wysokości. Druga Wielkanoc tak daleko od domu”.

Następnie po długich, ciężkich przemarszach dostaje się do Teheranu.

Po krótkim czasie zostaje wydelegowany do Sztabu ekspedycji.

Dowództwo angielskie używa go, jako łącznikowego w sprawach dyplomatycznych i z tego powodu często wysyła go do różnych miejscowości.

Z dziennika jego widać, że kilkakrotnie był w Batumie, Enzeli, Hamadanie, Kazwinie, Kiermanszachu, Resztie, Baku, Tyflisie.

Latem 1918 roku notuje w swym dzienniku dwukrotną chorobę. Raz tyfus plamisty, a drugi raz w kilka miesięcy potem, malarję, ale z obu wychodzi prędko i szczęśliwie wraca do zdrowia.

Pod datą 5 listopada zapisuje w tymże dzienniku:

Enzeli. „Dziś zrana dostałem pierwszy list z domu, od chwili wyjazdu z Anglii. List pisany 13 czerwca. Dzisiejszy dzień, najprzyjemniejszy, od chwili mego

wyjazdu. W liście fotografia Papy — jak on schudł... Daj Boże jaknajprędzej zobaczyć się z Mamą i Papą u siebie w Ojczyźnie, w pełnem zdrowiu".

W styczniu 1919 r. udaje się nam, dzięki bawiającemu w Warszawie angielskiemu pułkownikowi Wood, wejść w kontakt z synem.

Skoro się tylko syn dowiaduje, że jesteśmy już w Warszawie, natychmiast wraca do Polski, jako oficer armji Hallera...

W sierpniu 1919 r. jest w Warszawie; spotykamy się wreszcie po 2½ latach niewidzenia się.

Nie czuje się zupełnie dobrze; ma, od czasu do czasu ataki malarji, nabytej w Mezopotamji.

Dostaje przydział jako oficer łącznikowy przy Szeffie Misji Francuskiej, generale Henrysie.

Już od końca września grozi nam nowe rozstanie się z synem, ponieważ usilnie namawiają go, byjechał natychmiast do Waszyngtonu, jako „attaché” dyplomatyczny przy naszym pierwszym poselstwie.

Po krótkim namyśle syn mój decyduje się na wyjazd, uważając przyjęcie tego stanowiska za swój obowiązek, ale prosi o kilkotygodniowy urlop, który spędza w sanatorjum w Szwajcarji; z tego powodu wyjeżdża do Ameryki sam. (Miał za towarzysza podróży znanego działacza społecznego, prałata Adamskiego).

Znów wilgę i święta spędzamy zdala od naszego jedynaka. W czerwcu 1920 r., nie zważając na to, że nawet mu podniesiono pensję, rwie się na front i wyjeżdża do kraju. Szło to w tak szybkim tempie, że będąc w pierwszych dniach lipca służbowo we Fran-

cji, rozmijam się z nim i dopiero w Paryżu dowiaduję się, że on był także w stolicy Francji, lecz tylko przejażdżem, bez zatrzymania się, prawie z pociągu na pociąg.

W Warszawie syn mój pozostaje na służbie przez cały czas inwazji jako adjutant gubernatora Warszawy, generała Latinika, a następnie po odparciu bolszewików z pod Warszawy, do późnej jesieni jest na froncie.

Wraca w listopadzie, a 25 grudnia (po 5 latach spędzamy wilgę razem) jedzie do Opola, do komisji przy pośle Korfantym, gdzie ma poważną i nawet niebezpieczną pracę (bo w czasie służbowych rozjazdów niejednokrotnie bywał pod strzałami) nietylko przed plebiscytem, ale i potem do późnej jesieni.

Pisze do nas 2 stycznia 1921 r.: „Nowy Rok spotkałiliśmy w naszym konsulacie — z rewolwerami w rękę i ręcznymi granatami na stole, ba zagitowany tłum szowinistów-niemców, rozbijał bramę konsulatu; trwało to nim nie przyszedł baon wojsk Ententy”...

Oto charakterystyczniejsze momenty z jego życia...

Dla wyjaśnienia niektórych szczegółów przytaczam jeszcze przebieg jego wyjątkowo ciężkiej choroby i ogrom cierpień fizycznych.

Zapada na zdrowiu w połowie stycznia 1925 r., od końca stycznia do kwietnia leży w szpitalu Ujazdowskim, gdzie go dwukrotnie operują.

W kwietniu odwożę go do Meranu.

Zatrzymujemy się dla wypoczynku w Berlinie, w jednej z lecznic, gdzie główny doktor wyraził mi

swoje zdziwienie, że go wysłano w tak ciężkim stanie.

W Meranie, po krótkim czasie, nowa operacja okazuje się potrzebną.

Po operacji stan jego polepsza się o tyle, że przy rozpoczęciu upałów, jest w stanie odbyć podróż do Szwajcarii, jeszcze nie kolejną, a specjalnym samochodem, w którym był nietylko zapas ciepłych okryć, ale i mały piecyk.

Wieźli go bowiem do Lucerny nawet przez śnieżne góry — przez Davos.

W Lucernie został ulokowany w sanatorium, ale nie miał szczęścia, bo nietylko lato było wyjątkowo dżdżyste i stan jego znów się pogorszył, lecz w dodatku chirurg w Lucernie — jak mi tłumaczono potem w Nicei — zbyt wcześnie zamknął otwór, przez który ropa miała ujść.

Wzywają mnie do Lucerny, skąd przewożę go do Nicei w specjalnym wagonie („kranken-wagen“). Jak odmienne były warunki przewozu chorego z Warszawy, a z Lucerny!

W Warszawie wieziono go na dworzec sanitarnym samochodem wojskowym, któremu albo brakowało resorów, albo były one uszkodzone, bo jazda była wprost męczarnią dla zdrowych, a coś dopiero dla chorego. A najgorszy był przejazd przez źle wybrukowane i słabo oświetlone aleje szpitalne.

Chorego do wagonu wnieść nie było sposobu. Na rękach podali go przez okno sleepingu.

W Lucernie wygodne sanitarne auto wjechało wprost na peron. Drzwi wagonu otworzyły się, jak

w wagonach bagażowych i chory został odrazu ulokowany w wygodnym łóżku...

Po kilku tygodniach z konieczności zdecydowano nową operację dla dania ujścia ropie...

W Nicei stan jego po operacji polepsza się tak, że w sierpniu 1926 r. może sam przyjechać do kraju.

Na zimę jedzie do Egiptu — do Asuanu, — który leży w niedalekiem sąsiedztwie Sahary.

Zdrowie mu się tak poprawia, że wraca prawie do tej wagi, jaką miał przed chorobą.

W maju 1927 r. syn przyjeżdża z Egiptu do Nicei, gdzie pozostaje do sierpnia.

Ze zdrowiem jest stanowczo lepiej; wraca do Warszawy, gdzie bawi do końca października i bardzo pomyślnie organizuje Izbę Handlową Polsko-Egipską.

Z polecenia nowopowstałej Izby i za sankcją Ministerstwa Spraw Zagranicznych ma być od stycznia w Egipcie, celem zorganizowania tam odpowiedniej Izby Egipsko-Polskiej w Kairze.

Listopad i grudzień spędza w Nicei. W jednym z listów pisze, że 12-go grudnia w dniu swych imienin urządza on większe przyjęcie dla swoich przyjaciół i znajomych; odwiedza go i były minister spraw zagranicznych w Rosji, w okresie wielkiej wojny, p. Sazonow, który przyniósł mu w upominku pierwszy egzemplarz tylko co wydanych tam swoich wspomnień. W kilka dni potem (16 grudnia) p. Sazonow umiera i Ala jest na jego pogrzebie...

Nowy Rok zastaje go w pociągu, bo żeby zdążyć na statek, odchodzący 1 stycznia z Brindisi do Aleksandrii wyjeżdża 31 grudnia wieczorem z Rzymu,

gdzie wówczas bawił przez kilka dni. Miał w Rzymie kilka zaproszeń na Nowy Rok, ale pilno mu było jak najprędzej rozpocząć pracę w Egipcie. Niedługo potem przesyła do Warszawy wycinki z poważnych pism w Kairze o interviewie z nim w sprawach handlu Polski z Egiptem. Składa też wyczerpujące i treściwe sprawozdanie o aktualnych sprawach ekonomicznych i politycznych w Egipcie. W listach swoich do nas pisze, że ma dużo ułatwień, gdyż nie tylko wśród korpusu dyplomatycznego spotyka swoich znajomych i nawet byłych współkolegów z Waszyngtonu, ale i wśród wyższej administracji wojskowej angielskiej, spotyka kilku ze swoich byłych szefów z okresu pobytu w armji angielskiej.

Sprawa zorganizowania Izby posuwa się szybko, lecz w końcu lutego syn dostaje recydywy zapalenia płuc.

O ile można sądzić z jego listów i listów doktorów, powodem było silne zaziębienie (i gdzie — w Egipcie!).

Mieszkając dla zdrowia w Heluanie, musiał stale jeździć do Kairu, gdzie często pozostawał do wieczora, a w tamtejszym klimacie różnice temperatury są bardzo wielkie w ciągu dnia; temperatura bowiem dochodzi w południe do 40°, a wieczorami spada prawie do 0°.

Z powodu tej nowej komplikacji musi niezwłocznie jechać daleko na południe, — znów do Assuanu, ale jego nieobecność nie opóźnia pracy przez niego podjętej, gdyż z jego upoważnienia w marcu już zostaje

otwarta Izba Handlowa Egipsko - Polska z zatwierdzonym statutem.

W maju wraca do Nicei, ale jest jeszcze tak osłabiony, że w powrotnej drodze potrzebuje opieki pielęgniarki.

W Nicei trafia na okres wyjątkowych upałów, które go coraz więcej osłabiają.

Rwie się do wyjazdu do kraju, „do sosnowych lasów”, stale pisze do nas o terminach powrotu. Nic groźnego nie było i w listach doktora.

Dopiero od drugiej połowy lipca zaczęły dochodzić wiadomości bardziej niepokojące.

Kiedy wreszcie przyszła wiadomość, że próba wyjazdu w góry, przed dłuższą podróżą do kraju, pogorszyła jego stan, jadę do Nicei. Zastaję go strasznie osłabionego, ale konsylium zwołane w dzień mego przyjazdu, decyduje, że syn będzie mógł wyjechać.

W parę dni potem — 6 sierpnia — skonał, w pełnej przytomności, ciągle marząc o powrocie do kraju...

Ciało jego przewieziono do Warszawy.

Śmierć ta znalazła serdeczny oddźwięk współczucia, wśród wielu, wielu!

Setki depesz, listów, wizyt!

Mimo że to był czas wakacyjny sporo życzliwych i dobrych ludzi uczestniczy w pogrzebie...

Oto portret mojego syna!

Na zakończenie powtórzę to, co już zaznaczyłem na wstępie: Gdyby, Synu nasz najdroższy, spotkał Cię ten wielki zaszczyt, żeby choć tylko kilka młodych serc polskich poszło w życie Twoim umocnione przykładem, to już byłbyś hojnie wynagrodzony za

Twoje bóle i trudy, za uczciwą i szlachetną ideową pracę obywatelską, podjętą dla swojego kraju i dla ludzkości....

Poświęciwszy tę pracę młodzieży, chcę w epilogu przytoczyć jeszcze jeden ustęp z mowy J. Paderewskiego w Ameryce: „My żyjemy w tych czasach, gdzie nie pora na żal, gdzie potrzeba uderzyć w tę strunę drugą, o której mówił poeta Krasiński — „w czynów stal“...

A więc budujmy Ojczyznę niepodległą — całą wolną po wszystkie czasy“!

Temi budowniczymi będziecie Wy, młodzieży! Wasza młodość przemijać będzie w zupełnie odmiennych warunkach duchowych, niż młodość waszych pradziadów, dziadów i ojców.

Od zarania życia jesteście wolnymi obywatelami wolnego Państwa.

Jest to wielkie szczęście dla Was. Lecz pamiętać musicie, że czem większe są i będą Wasze prawa, tem większe będą i obowiązki...

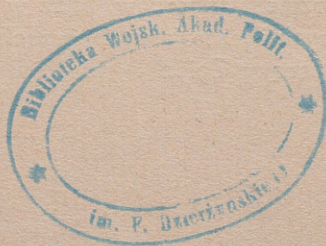
Znany jest Wam wszystkim symboliczny grób „Niezanego żołnierza polskiego“, który padł na polu walki o niepodległość Ojczyzny. Ale również musicie przechowywać wdzięczną pamięć o tych bohaterach naszego Narodu, którzy chociaż nie na polach walki, ale przez długie szeregi lat życia codziennego, bądź pod jarzmem zaborców, bądź w ciężkich warunkach moralnych i materialnych, przechowywali dla Was ten niegasnący Znicz — ideałów Narodowych!

Ich miłość dla Ojczyzny, ich ciężka praca przyczyniła się do zmartwychwstania naszego Narodu!

Ten największy skarb Narodowy — „Wolność” — tylko wtedy przechowacie i przekażecie w spadku przyszłym pokoleniom, o ile zrozumiecie i wczujecie się w to, że:

Świat należy do silnych wiarą, wolą i wiedzą.

K O N I E C





48029/

2